

(Dokończenie ze str. 1-ef)

nie żarliwość przemówień wygłaszanych w 1949 roku w Paryżu, a w 1950 w Warszawie, przekonały Greenów i Sartrow, ale praktyczna skuteczność walki o pokój, którą ludzie mieszkający w krajach bezpośrednio podległych militarnemu okupacji amerykańskiej mają możność obserwować. Ludzie we Francji, we Włoszech, w zachodnich Niemczech, w Anglii lepiej niż mieszkańcy naszego kraju dostrzegają, jak dalece ta ogromna mobilizacja pokojowej woli i pokojowej świadomości mas narodowych sprowokowana przez ruch obrony pokoju przeskądza polityce wojennej Stanów Zjednoczonych. A dostrzegają to — włączając się do nowych szeregów.

Ruch obrońców pokoju przeskądza polityce wojennej USA, gdyż stała się nieuchronna — by tak rzec — „patrzy na ręce”, a to denerwuje i utrudnia intymne przygotowywanie agresji. Przeszkadza, gdyż ukazuje ludom możliwość dwójaką: wojny i pokoju, ukazuje alternatywę, a nie tylko nieuchronną konieczność wojny, którą wzmocnić chcą wszystkim amerykańscy bankierzy. Przeszkadza, gdyż stale i na jak najszerszej płaszczyźnie światopoglądowej mobilizuje ludzi przeciw polityce amerykańskiej. Przeszkadza, gdyż prędzej niż stałoby się to w innym wypadku sygnalizuje ludziom niebezpieczeństwo poszczególnych wojennych posunięć amerykańskiej polityki. Przeszkadza wreszcie dlatego, że dzień po dniu uświadamia ludziom i ludom ich własną siłę, którą okazuje się skutecznie można kierować przeciwko podżegaczom wojennym.

CZAS NIE IM — LECZ NAMI

Akcja w obronie pokoju w znacznej mierze przyczyniła się do tego, że amerykańscy kapitaliści i generałowie coraz mniejsze zaufanie mogą mieć do obywateli francuskich, włoskich, angielskich, a nawet do obywateli Niemiec zachodnich, których protesty odwołują z miesiąca na miesiąc ratyfikację „Układu ogólnego”. A nie mogąc w pełni liczyć na owych 50 dywizji, których brak im — ciągle odkładając muszą termin ewentualnej agresji, choć wiedzą, że czas pracuje przeciwko nim. Czas pracuje przeciwko nim — gdyż obrońcy pokoju rosnąc w siłę — coraz bardziej oddziaływają na rozwój międzynarodowej sytuacji na swoją — oczywiście — a nie amerykańską korzyść. Czas pracuje przeciwko nim — gdyż wewnętrzne sprzeczności świata kapitalistycznego, pogłębiając się, osłabiają obóz imperialistyczny. Przeciwno — gdyż każdy następny rok naszego stulecia wzmaga wolnościową walkę ludów pół i zupełnie kolonialnych. Jeżeli Irak i Iran zbuntowały się przeciw natowemu poddaństwu, jeżeli Algier i Maroko wypowiedziały walkę francuskiemu imperializmowi, jeżeli w ogniu wojny wyzwolenczej stoją Malaje i Vietnam, jeżeli zbuntował się Murzyn Kenii, jeżeli tełian egipski spróbował swej siły — choćby ją nawet chwilowo przeschwalał gen. Naguib — jeżeli stoimy w przeddzień jakiegoś powszechnego powstania ludów kolorowych przeciwko białym najezdcom — to wszystko to razem osłabia nie tylko Anglię i Francję, ale godzi w Stany Zjednoczone, które jedynie na bardzo krótko będą mogły „zastąpić” czy „wyręczyć” imperializm europejski. Czas kolonialnych imperializmów minął — i państwa, które swą potęgę gruntowały na kolonialnym wladztwie, stoją w przeddzień bankructwa gospodarczego i politycznego, mają przetrącony kręgosłup. Imperializm amerykański niewielką pociechę mieć z nich będzie — dlatego też rozgląda się za nowym sojusznikiem. Znajduje go w Bonn — lecz Bonn nie leży na księżycu, tylko w samym centrum

Europie. Niemcy mogły stać się faszystowskie w 1933 roku, gdyż mniej lub więcej faszystowska była cała Europa. Niemcy nie będą znów faszystowskie, gdyż w tej chwili narody europejskie zdobyły już — również wskutek akcji obrony pokoju — narzędzie takiego nacisku na własne rządy, że będą w stanie nie dopuścić do nowej reinkarnacji faszystów. Niemcy zachodnie nie staną się faszystowskie, mimo działania tam sil neofaszystowskich, gdyż w całej Europie narasta fala antywojenna, więc antyfaszystowska, gdyż w samych Niemczech fakt istnienia NRD działa wzmacniająco na wszystkie czynniki pragmatyczne pokoju, jak w skali światowej fakt istnienia Związku Radzieckiego działa wzmacniająco na wszystkie czynniki walczące o pokój i socjalizm.

Jeżeli dziś w Polsce demonstrujemy naszą jedność w walce o pokój — to nie dlatego, by przestraszyć garstkę amerykańskich szpicli myszujących jeszcze w naszym kraju, ale dlatego, by o naszej postawie dowiedziały się każdy Francuz, każdy Anglik, każdy Henri Martin i każda Raymonde Dien, każdy Sartre i każdy Greene. Będą oni wtedy mocniejsi! Dlatego nie wolno nam ani na moment ustawać w naszej walce, choćby formy jej były nuzące jednostajnie i tak mało podniecające, jak mało podniecająca — w porównaniu z bitwą na samej linii frontu — jest praca szoferów w taborach.

ABY DZIECIOM SPOJRZEĆ W OCZY...

Cztery lata temu rozpoczęliśmy walkę o zachowanie pokoju. Po czterech latach stale zwiększające się kadry obrońców pokoju — świadczą dostatecznie (gdymy już nawet innych świadectw brakowało), że walka ta jest potrzebna i skuteczna. Siyszałem niedawno o Włosze, matce kilkorga dzieci, która dawno już temu zgłosiła się do pracy w miejscowym Komitecie „obrońców pokoju”, a gdy któryś ze sceptycznych znajomych, zdziwiony, pytał ją, czy wierzy w skuteczność tej pracy, ona odpowiedziała: „Wojna jest rzeczą tak potworną, że nie mogę — dzieciną bym w oczy spojrzeć nigdy nie śmiała — zaniedbać żadnej okazji, która utrzymaniu pokoju może sprzyjać. Muszę wypełnić mój obowiązek matki, jakim jest utrzymanie dzieci przy życiu. Jak staram się o ich pozytywne, tak muszę z równą — a może i większą zaciętością — dbać o pokój dla nich. Będę pracowała wszędzie, gdzie będę widziała chęć zachowania pokoju”.

Tak mówiła prosta kobieta, która będzie walczyć o pokój nawet i wtedy, gdy nadzieje pokoju są nędzne, gdyż w przyszłości chce móc spojrzeć spokojnie w oczy swym dzieciom. Natomiast przemądrzy intelektualisci, którzy dokładnie znają strategię światowej polityki, wtedy dopiero podjęli nasz pokojowy apel, gdy przekonali się o naszej sile i gdyż przekonali się bezwzględnie o nikczemności strony przeciwej. Matka włoska dołączyła do obrońców pokoju przed czterema laty — intelektualisci, o których mówię, uczynili to przed czterema tygodniami. Czas zawarty między tymi dwoma datami jest czasem naszych zwycięstw. Zwycięstw, które ruch obrońców pokoju przekształcił w ruch narodów w obronie pokoju. Zwycięstw, które zmuszają naszych wrogów do liczenia się z nami. Zwycięstw, które oddalają widmo wojny od naszych progów i odwracają — by powtórzyć za Erenburgiem — lufy armat od naszych piersi.

Zwycięstw, które pozwalają mieć pełną wiarę w słusność słów Józefa Stalina: „pokój będzie zachowany i utrwalony jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą brnity jej do końca”.

Kazimierz Koźniewski

ARNOLD ŚLUSKI

„DLA CIEBIE CZŁOWIEKU

Piszę ten wiersz dla ciebie, człowieku, na heblowanym biurku jeszcze bez polysku, w starym domu, w mieście co ma dziesięć wieków, a jednak młodsze niż chłopiec nad Wisłą, który to miasto widzi na rycinie, skandując dzwiczną nazwę rzeki po łacinie.

Piszę ten wiersz dla ciebie, rówieśniku, mężczyzno o przedwczesnie posiwiałej skroni, dom mój rozwalony znasz z filmowych kronik, Szopena pamiętasz rozstrząskaną głowę — człowieku zza Wołgi i z Atlantyku. Tej nocy słuchać nie mogłeś muzyki...

A naszymi miasto zbudowali — nowe, murarze mają palce szybko jak pianiste, kiedy ją młotek z popiołu oczyścił. Tu z ruin wycięte wiążą się freski, dom staje — byś mieszkał, i Zamek Królewski...

Myśm tu drzewa zaszceplali żywe, pnie owiali słomianym bandażem, artysta — bezbożnik kościelne witraże odnawiał, gdy pędził zamarał na szybie. Kto się w tym mieście nie wzruszy do głębi na placu budowy gdy stado gołębi zobaczy, co grzeje się ponad ogniskiem. W oczach przechodnia iza się zakreśli i nawet najemni korespondenci amerykańscy, choćby się wchłszy napili — sumienie z trudem zagłuszą. I wiem, że skłamał, chociaż się wzrusza.

Piszę ten wiersz dla ciebie, człowieku, na heblowanym biurku jeszcze bez polysku. Piszę. Jest połowa dwudziestego wieku. Czyszą żona nachyla się nad kółką, za ścianą śpiewa nie zmuższy powiek. Kto pieśń tę spłoczy? — Nicczłowiek.

FLORIAN MIEDZIŃSKI

Zemsta prymasa na J. I. Kraszewskim

do anarchii. Jako pewnego rodzaju credo programowe należy więc uznać koncowy dopisek artykułu: „Mówimy o zdrowych tradycjach narodowych, a na poparcie, że zgodni jesteśmy z nimi, moglibyśmy przywieść mnogie ustępy z Ostroroga „Monumenta pro republicae ordinatione”. Ostroróg, reformator znakomity XV wieku, był wyrazicielem tych tradycji polskich, które w nim na ową epokę z niezmienną jasnością i stanowczością się wyrażają”.

Nie tedy dziwnego, że holdując takim zasadom, pisarz, wbrew swemu pogładowi, iż „polityka nas zjada i trawi”, w okresie soboru wysunął ją na pierwsze miejsce w swym piśmie i zajął zdecydowanie stanowisko, kiedy powstało dla interesów narodowych groźne niebezpieczeństwo. Uderzył wtedy na alarm, zaatakował niezwykle gwałtownie prymasa Ledóchowskiego, a była ku temu istotna przyczyna.

Sobór rzymski był wyrazem owej „politycznej techniki, która w słowach rezgnuje z władzy nad światem ziemskim, czyniami swymi natomiast do władzy tej dąży bezwzględnie” — jak powiedział głośny dziś we Włoszech jezuita Alighieri Tondi, do niedawna profesor papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego. Bezwzględność tę wobec „umilowanych wiernych polskich” okazał Watykan na soborze, usiłując handlować ich interesami narodowymi. Jaka była podszełka polityczna tego gestu? Właśnie wówczas papieństwo zamierzało wykażać rządzący zaborczy, że bez jego pomocy nie zlikwidują one ostatecznie „sprawy polskiej”. Po stumieniu powstania styczniowego — w Petersburgu, Berlinie i Wiedniu niedowierzano Polakom. Niedowierzano zwłaszcza dlatego, że w „sprawie polskiej” zaczęli coraz mocniej zabierać głos młody ruch socjalistyczny. W tej sytuacji Watykan postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, ofiarowując ze swej strony rządzący państw trójprzynierza uzyskanie pełnej lojalności Polaków wobec zapowiadających się trudnych rokowań po uchwaleniu dogmatu o nieomyślności.

Rządy monarchistyczno-burżuazyjne, świadome słabości władzy papieskiej w tym okresie, niebardzo bowiem jeszcze doceniały wagę jej pomocy w zaostrzającej się walce klasowej z szybko rosnącym w siłę proletariatem. W dogmacie o nieomyślności widzieli raczej niebezpieczeństwo dla siebie pociągnięcia politycznego, stąd byli poważnie zaniepokojone. Zaniepokojenie to wynikało m. in. z not dyplomatycznych i polecen do pełnomocników w Rzymie ze strony rządów austriackiego i pruskiego, a nawet francuskiego. Tak np. rząd austriacki w depeszy z 10.11.1870 pisał do swego pełnomocnika: „Tresć niektórych kanonów tak dalece zmięrała do ubezwładnienia prawodawstwa cywilnego i uszanowania, jakie każdy obywatel winien jest prawom krajowym, że żadne państwo nie mogłoby patrzeć obojętnie na dowolne rozpowszechnianie podobnych nauk”. W ten sposób rząd „Jego Apostolskiej Mości” nie wahał się nawet grozić, iż „będzie musiał zastrzeć sobie, jeżeliby okazała się tego potrzeba, zakazać ogłaszania rozporządzenia uwłaczającego majestatu prawa, a każdy kto by przekroczył podobny zakaz, byłby pociągnięty do odpowiedzialności przez sądy krajowe”. Rząd francuski zaś, którego wojska w Rzymie stanowią w danej chwili jedyną podstawę trwania państwa kościelnego, w depeszy z 12.V. 1870 dawał wyraz nadziei, iż biskupom francuskim „uda się uchronić nasze ustawy cywilne i polityczne przed zamachami teokratycznymi”.

Sytuacja była więc raczej trudna dla Watykanu, tym bardziej, że i na samym soborze ujawniła się bardzo silna opozycja przeciw dogmatowi o nieomyślności. Watykan zdawał więc sobie sprawę, że musi natychmiast ofiarować jakąś kompensatę zaniepokojonym rządzący, przy czym najwięcej zależało mu na rządach, panujących na wschodzie Europy, gdyż był to warunek porozumienia się z Rosją w celu pozyskania jej dla katolicyzmu.

Głównym wykonawcą tej polityki miał być prymas Ledóchowski, a najgłośniejszym jej przeciwnikiem stał się zaś J. I. Kraszewski.

Autor „Starej Baśni” przebywał w tym czasie w Dreźnie, gdzie znalazł schronienie po upadku powstania styczniowego. Wydawał tam pismo literacko-społeczne „TYGODNIK”, borykając się z niemałymi trudnościami.

Po wystąpieniu Kraszewskiego przeciw frymarzeniu na soborze interesami polskimi, o czym szczegółowej mowa będzie dalej, pisma klerykałne rozpoczęły zajądą kampanię przeciw pisarzowi i „Tygodnikowi”, a wtórowała im cała prasa burżuazyjna. Później zastosowano inną taktykę, jak pisał o tym Kraszewski: „Zaden dziennik prawie nie podnosił rzucanych przez nas kwestii, nie rozpoczynał choćby polemiki na serio, nie przypominał w swoim kręgu czytelników nawet istnienia naszego. Odzywano się półgębkiem, młeczano lub spotwarzano, aby odepchnąć lub przybliżyć. Mogłoby to zrazić może kogo innego, nas tylko zasmucilo. O dobrach sprawy postępu, pracy, wewnętrznej uporządkowania sił i zorganizowania Polski w duchu narodowym nie zwątpiliśmy ani nie zwątpimy”.

W czasach dreźnieńskich Kraszewski coraz bardziej wywalał się z dawnych sympatii dla tradycji szlacheckich, piętnował coraz bardziej stanowczo sobokstwo szlachty i jej skłonność

ny ten lachman królewskiej naszej szaty, jak strzępek starej chorągwi”. Polityczny rozbiór Polski miał więc być zatwierdzony ostatecznie przez papieństwo i w sferze wiary, w blasku dogmatu o nieomyślności. „Duchowy rozbiór Polski miał się dokonać pod tym zewnętrzny znakiem (prymasostwa — F. M.) wrzekomego zjednoczenia”.

W „Tygodniku” wyraźnie wskazywano na polityczny cel gry watykańskiej: „Pod purpurą prymasowską, za którą wolno było każdemu odgadywać Bismarcka i cara, skupić się miały szalenie niedobitki wielkiego i sławnego niegdyś episkopatu polskiego, oskrzyżowanymi szeregami Zmartwychwstańców i szeroka rozspaną ich po całej Polsce tyraliera”. W demaskowaniu nie oszczędzono bowiem zakonników, frymarzających razem z Ledóchowskim interesami narodowymi. „Legion ten — pisano — pod znakiem ultramontanizmu miał szczerpie postuszeństwo dla władz ustanowionych przez Boga i pędzić przed sobą tak zwanych rewolucyjnych księży, podejrzywanych o przechowywanie orla”.

Kraszewski był atakowany przez większość ówczesnej prasy polskiej, gdyż „całe niemal dziennikarstwo polskie (było) w rękach Zmartwychwstańców”, miał zaś jedynie poparcie krakowskiego „Kraju” i lekką sympatię „Dziennika Poznańskiego”. Machinacją Ledóchowskiego została jednak zamaskowana i dlatego przestała interesować rządy zaborcze.

Zapamiętał jednakże to sobie Ledóchowski, postanowił przeto zemścić się na pisarzu w odpowiedniej chwili.

Jeszcze w okresie soboru wydany został z Rzymu Władysław Kulczycki, jako rzekomy autor korespondencji do „Tygodnika” Kraszewskiego. Jak wynika z ówczesnej prasy, wydalenie nastąpiło na osobiste życzenie Prusa IX. Zemstę na Kraszewskim musiano odłożyć do czasów późniejszych.

Na zemstę zasłużył Kraszewski w oczach prymasa tym bardziej, że przylączył się do protestu, jaki w opinii polskiej wywołał podróz Ledóchowskiego w końcu 1870 r. do Wersalu, do Wilhelma I i Bismarcka. Po wkroczeniu wojsk włoskich do Rzymu i po dokonaniu zjednoczenia narodu włoskiego kosztem likwidacji państwa kościelnego, Ledóchowski, jako wierny obywatel tego państwa, udał się do triumfatorów nad narodem francuskim z propozycją, aby zdobył potęgę wykorzystali do przywrócenia papieństwu Rzymu. Już to samo było zaiste „niezwykłym krokiem” ze strony prymasa podbitego narodu, który przeciw narodowym dążeniom Włochów wzywał pomocy państwa, gnębiącego jego własny naród.

Niedyskrecja prasy niemieckiej, inspirowanej prawdopodobnie przez Bismarcka, chcącego krok ten wykorzystać politycznie, ujawniła jednak ohydny wprost stronę podróży Ledóchowskiego do Wersalu. Oto, w celu nakłonienia Bismarcka do awanturkowej wyprawy za Alpy, prymas, w całkowitej tajemnicy przed społeczeństwem, wręczył Wilhelmu „adres holdowniczyny”, w którym zapewniał cesarza o wierności katolików polskich wobec dynastii. Ledóchowski, w zamian za „zniewolenie rządu włoskiego” do oddania papieżowi Rzymu, ofiarowywał „błogosławienie monarchii, który by naszego Ojca św. uwolnił, wysławianie wielkodusznego króla, który pomścił majestat opuszczonego króla”. Apelowal więc Ledóchowski do tego, co Józef de Maistre określał jako „tajemne przymierze pomiędzy władzą nieomyślnego papieża a absolutyzmem królów z łaski Bożej” („O papieństwie”).

Bismarck miał wtedy jednak własne kłopoty z Francją i własne cele polityczne, którym w danej chwili odpowiadało zmniejszenie prestiżu papieskiego. Fetowano więc Ledóchowskiego w Wersalu, jego „chrześcijańskie” pokusy w sprawie podjęcia wojny przeciw Włochom przyjęto jednak chłodno i odprawiono wojowniczego prymasa z kwitkiem.

Wkrótce miała nadarzyć się okazja do zemsty na Kraszewskim za wszystkie unicestwione machinacje. W r. 1872 rozpisano wybory do parlamentu Wielkiej Rzeczy Niemieckiej, proklamowanej w Wersalu. Ledóchowski, który dawniej zakazywał księżom udziału w akcji wyborczej, kiedy miała ona wyłacznie charakter narodowy, obecnie osobiście — choć pośrednio — włączył się do niej natychmiast. Chodziło mu o to, by do nowego Kola Polskiego weszli postowie, wypowiadający się za odbudową państwa kościelnego. Najwięcej kłopotów mieli „ultramontanie” z osobą Kraszewskiego.

Miarą bowiem wielkiego szacunku, jakim cieszył się w społeczeństwie pisarz, któremu niewiele zaszkołdza poprzednia kampania prasy klerykałnej, był fakt, że aż cztery okręgi wielkopolskie wysunęły kandydaturę Kraszewskiego na pierwsze miejsce.

Za pośrednictwem grona oddanych sobie ludzi podjęli „ultramontanie” akcję, której celem było, by każdy kandydat na postla zobowiązał się: 1) bronić doczesnej władzy

papieży; 2) bronić zakonów kościelnych; 3) występować przeciw szkolom bezwyznaniowym; 4) występować przeciw małżeństwom cywilnym. Zbyt jednak silnie były jeszcze tradycje powstań 1831 i 1863 r. i zbyt świeża pamięć o stanowisku wobec nich papieństwa, by wojujący obóz klerykałny uzyskał zwycięstwo za pierwszym uderzeniem. Zaden z wysuniętych kandydatów nie podpisał zobowiązania. Dopiero po kilku latach, kiedy wyższe duchowieństwo wykorzystalo skutki „Kulturkampfu” do narzucenia swej władzy społeczeństwu, załamał się opór burżuazji wielkopolskiej wobec podporządkowania interesów narodowych interesom watykańskim. Doszła do tego zarysowująca się coraz bardziej ostra walka klasowa, która nakazała burżuazji poddać rewizji swą poprzednią taktykę.

W akcji wyborczej godzono jednak przede wszystkim w osobę Kraszewskiego, wiedząc, że kto jak kto ale pisarz w zadnym razie nie podda się dyktatowi.

W odezwie, rozrzuconej wśród księży, ks. Stagracyński, redaktor „Tygodnika Katolickiego”, pisał: „Wobec agitacji „Dziennika Poznańskiego”, który gwałtem chce katolickiemu Księstwu narzucić p. Kraszewskiego na postla do parlamentu, cziowka znanego każdemu jako owariego wroga, zacietego i uparteego, papieństwa i ks. prymasa, wobec agitacji, jaka w tym kierunku po całej naszej prowincji się szerzy, wygłada na demonstrację przeciw księciu, prymasowi, katolicyzmowi Księstwa naszego, nie podobna nam duchownym milczeć już dłużej i beczynie przypatrywać się tym próbom radykalizmu”. — Znamiennym jest, że ksiądz-redaktor doceniając opór społeczeństwa przeciw akcji „ultramontanów”, radził konfratrom: „Wobec świeckich osób potrzebny jest sekret, by przed czasem, zanim rzecz nie dojrzeje, nie narobił wzwawy i malodusznych nie odstręczył”.

Jak uzasadnionymi były zaś obawy obozu prymasowskiego co do nastrojów społeczeństwa, o tym świadczy wiele współczesnych głosów. „Dziennik Poznański” pisał m. in.: „Nie podobna nie zganić uczynnych, obranych prawie z wszelkiej przyzwolności wycieczek „Tygodnika Katolickiego” i korespondenta poznańskiego „Czasu” przeciwko zasłużonemu pisarzowi, którego imię słynie i slynąć będzie — jak dyktando Polski starczy. Pan Kraszewski od kilku lat stał się ulubionym celem pocisków „Tygodnika Katolickiego” uatęgo, że (...) miłość Ojczyzny pozycjuje za obowiązek każdego kapłana polskiego, czy on w mitrze biskupiej czy w zwykłej plebiana sutannie”. Henryk Szuman, prezes sejmowego Kola Polskiego, pisał o Ledóchowskim, inicjatorze całej tej akcji, że: „w kołach dyplomacji mogą zarzucić myśl przewrotną narodu”, wobec czego „nie ma poczucia tego, co nam pod względem narodowo-politycznym donaję, czego nam potrzeba, za czym łakniemy i łaknąć musimy”. Wreszcie patriotyczny ks. Bilinski ze Skalmierzy odezwał się publicznie (za co Ledóchowski wystął go na karne rekolacje), iż należy zachować solidarność narodową mimo „antynarodowego kierunku, który u nas zainaugurowały stery urzędowe kościelne”. Jak widzimy, niektóre te oswiadczenia sprzed 80 lat brzmią jakże aktualnie i dzisiaj, kiedy Watykan trwa w wrożej polityce wobec narodu polskiego, a wyższemu klerowi bliższy jest interes dyplomacji watykańskiej niż interes narodowy.

„Ultramontanie” szaleli jednak w swym gniewie. Organ ich kpil z „barwoenwaństwa patriotycznego”, przeciwnikom określał mianem „wienrzycieli” i nazywał „szajką radykalizmu”.

Kraszewski daleki był od ambicji politycznych, mandat poselski przyjął on po prostu jako ciężki dla siebie obowiązek narodowy. Wybór miał zapewnić, gdyż zaden z sukcesyjnych kandydatów „ultramontanskich” nie przeszedł (zdolał tylko spowodować stratę jednego mandatu polskiego). Pisarzowi dokuczala jednak cała ohydna kampania, jaką dokola jego osoby rozpętał obóz prymasowski. Na krótko przed wyborami przesłał oświadczenie, że „nie chce kandydaturą swoją wrować scysji i dlatego w imię dobra publicznego zrzeka się kandydowania we wszystkich okręgach, w których był postawiony”.

Ledóchowski — a za nim Watykan — dopuł swego, wywierając zemstę na wielkim pisarzu polskim. Wielkopolska została pozbawiona obrony jej interesów z trybunu parlamentarnej w Berlinie przez człowieka, „ktorego imię slymie i slynąć będzie jak długo Polski starczy”.

Później natomiast, kiedy sława Kraszewskiego wyraźnie wzrosła, ten sam obóz, który za życia znieprawdował Kraszewskiego, pragnął po jego śmierci wybić kapitał dla siebie. Usiłował przywłaszczyć sobie wielkie nakwizdo dla swoich celów, które demaskował i tak namiętnie zwalczał J. I. Kraszewski.

Florian Miedziński

SEWERYN POLLAK

Nad nowym przekładem „Eugeniusza Oniegina”

Zainteresowanie Puszkim w Polsce od pierwszej chwili, od pierwszych nieporadnych jeszcze przekładów Lindego, od znakomitych kongenialnych tłumaczeń Mickiewicza, nie słabło właściwie nigdy na czas dłuższy. Najlepszym dowodem jest fakt, że Marian Toporowski w swej niezmiernie interesującej pracy bibliograficznej o Puszkim w Polsce, wydanej w r. 1950, wymienia aż trzydzieści pięćdziesiąt dwie pozycje tłumaczeniowe, co stanowi chyba w swoim rodzaju rekord w dziedzinie przekładów poetyckich. W pracy tłumaczy następowały okresy nasilenia i spadków, uzależnione od sytuacji politycznej. Nie będę tu wdawał się w szersze omówienie bardzo ciekawego zagadnienia tej współzależności, zwłaszcza że znajduje się czytelnik w książce Toporowskiego. Chcę tylko zwrócić uwagę, że znaczny wzrost działalności przekładowej przypada na okres międzywojennego dwudziestolecia. Było to, na przekór politycznym tendencjom izolacji, jednym z dowodów wielkiego zainteresowania życiem i kulturą Związku Radzieckiego. Odmowa pionierską rolę spełnił tu Julian Tuwim, wydając swoje znakomite tłumaczenie „Jeźdźca miedzianego”, a przede wszystkim „Lutnię Puszkina”.

Po wojnie rozpoczął się nowy wspaniały renesans poezji Puszkina w Polsce Ludowej. „Nigdy jednocześnie tylu utalentowanych tłumaczy nie przekładało Puszkina. Dziś można by nawet mówić o poetyckiej grupie tłumaczy-puszkinkowców” — pisze Toporowski. I — co znamienne — tłumacze ci poddali gruntownej rewizji metody przekładu Puszkina na język polski. Rewizja ta, była wynikiem innego, bardziej racjonalizowanego stosunku do zagadnienia twórczości przekładowej w ogóle i powstała na tle marksistowskiej analizy języka poetyckiego.

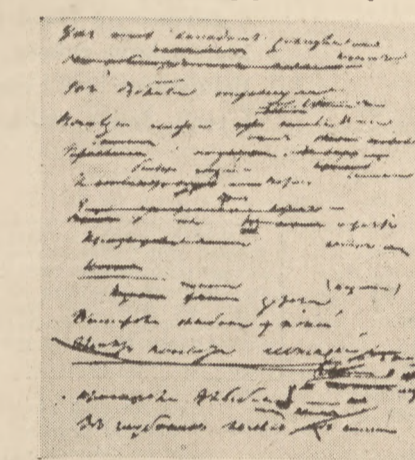
Jeszcze przed wydaniem pracy Adama Ważyka „Mickiewicz a wersyfikacja narodowa” i przed jego tezą o naturalnym toku amfibryczno-trocheicznym języka polskiego, różnym od jambicznego toku języka rosyjskiego, tłumacze w latach ostatnich, nawiązując do praktyki klasyków, zaczęli transponować sylabotonię rosyjską na wiersz sylabiczny polski, wbrew dotychczasowym zwyczajom mechanicznego odwzorowywania miar obcych. Jednocześnie — również zgodnie z naszą tradycją dwudziestowieczną — dała się odczuć wyraźna tendencja do zastępowania częstych, a zgodnych z rosyjskim systemem akcentuacyjnym rymów męskich przez rym żeński. Dotychczasowe ściśle trzymany się wzorca „metrycznego” i rymów zgodnych z oryginałem prowadziło do swoistego wynaturzenia języka poetyckiego, w konsekwencji pozbawiało zdania potoczności, tworzyło sztuczne układy słowne, a co gorsza — zmuszało często poetów do wprowadzania dowolności zarówno w treści jak i w obrazowaniu. Pozorna formalna wierność przy wypełnianiu siatki metrycznej, pozorna mechaniczna wierność w oddaniu melodyki wiersza rosyjskiego przy pomocy rymów męskich musi z konieczności prowadzić wobec innego naturalnego toku języka polskiego do odwracania procesu tłumaczenia — od zagadnień transpozycji semantyki i obrazowania wiersza do układania szarad opartych na elementach wtórnych. Przypomina to pisanie libretta operowego, gdzie rozkład akcentów w zdaniu musi być ściśle uzgodniony z kształtem frazy muzycznej. Do czego to prowadzi — wiedzą dobrze bywalcy opery. Spośród nielicznych w tej chwili zwolenników formalnej metody przekładu, jedynie Tuwim dzięki swej niesłychanej wirtuozerii językowej potrafi ominąć zasadzki tej metody i wychodzi z nich obronną ręką, choć jemu nawet zdarza się niekiedy wpaść w wyboje wykute kilofem rymu męskiego. Toteż przykład Tuwima jest wyraźnie nietypowy.

Adam Ważyk przystępując do tłumaczenia „Oniegina” zupełnie słusznie oparł swoją metodę przekładową na pięknej tradycji wdrażania obcego tekstu poetyckiego w polski tok językowy, na tradycji przekładów Mickiewiczowskich. Tłumaczenie „Oniegina”, poematu, który wyrósł z narodowych źródeł języka rosyjskiego, poematu otoczonego metołą pokoleń, jest nad wyraz trudne. Mimo woli, przestając go w obcy kształt językowy, musimy w jakimś stopniu zetrzeć ów delikatny brzoskwiowy puch, co, co trudno określić, a co jest bardzo dla każdego poematu narodo-wo istotne. Tak samo, jak nie możemy sobie wyobrazić całkowicie adekwatnego poetycko przekładu „Pana Tadeusza” na język obcy. Oczywiście nie znaczy to bynajmniej, abyśmy mieli rezygnować z tłumaczenia arcydzieł literatury. Znaczący to jedynie, że przystępując do przekładu, musimy głęboko rozważyć, jaki im nadać kształt, ażeby przelewając cenny płyn poezji do innego naczynia, jak najmniej urońnić kropel. Musimy obce treści przyoblec w taki kształt poetycki, aby utworzył mógł wejść do zasobu naszego własnego piśmiennictwa.

Strofa „Oniegina” stawia szcze-

gólne trudności tłumaczowi polskiemu. Czterostopowy rosyjski jamb, gdzie na czteronastę wierszy strofy osiem zakończonych jest rymami męskimi, w języku oryginału jest dostatecznie nośny, aby przekazać czytelnikowi olbrzymią gamę pojęć i uczuć. Pod piórem Puszkina strofa ta, skomplikowana i zdawałoby się sztywna, nabiera przedziwnej giętkości. Puszkini urozmaica sztywny schemat układu jambicznego przez pominięcie poszczególnych akcentów, co dodaje wierszowi płynności i melodyjności. Wzorec tej strofy żywym przeniesiony do języka polskiego, na przestrzeni wielkiego poematu nawet pod ręką mistrza-tłumacza musi, siłą rzeczy, sprawić wrażenie jakiejś obcości w melodyce. Płynna, spokojna fraza nabiera sztucznej dynamiki. W pewnych partiach poematu jest to nawet właściwe, są jednak duże fragmenty, „Oniegina”, gdzie wprowadza to zupełnie inny klimat poetycki.

Toteż Ważyk, opierając się na założeniu, że strofa onieginowska jest jak gdyby układem najbardziej typowych rosyjskich czterostopowych zwrotek jambicznych, zbudował strofę analogiczną w układzie, złożoną z typowych zwrotek polskiego dziewięciogłoskowca. W wyniku dłuższej analizy strofa onieginowska, gdzie w oryginalnym układzie rymów przedstawia się schematycznie: a-bm-a-bm, c-c—dm-dm, e-fm-fm-e, gm-gm (m — oznacza rym męski), w koncepcji Ważyka wygląda następująco: a-b-a-b, c-d-d-c, e-fm-e-fm, g-g. Widzimy z



Stronka rękopisu rozdziału czwartego „Eugeniusza Oniegina”.

tego, że u Ważyka jedynie pierwszy czterowiersz i ostatni dystych zachowują kolejność rymowania całkowite analogiczną z oryginałem, a z dwóch rymów męskich, które Ważyk pozostawia w swojej strofie, jedynie pierwszy ma to samo umiejscowienie, co w oryginalnym. Zasada koncepcji Ważyka jest całkowicie słuszna. Jak z dalszej analizy tekstu wynika, można byłoby mieć zastrzeżenia, czy słuszne było pozostawienie ostatnich dwóch rymów męskich, ewentualnie, czy nie należałoby ich w innym miejscu ustawić. Sprawa ta może być tematem dyskusji.

Tutaj chcę zaznaczyć, że w swoim dążeniu do „zaaklimatyzowania” w języku polskim strofy onieginowskiej miał już co prawda Ważyk poprzedników, ale koncepcja jego jest najbardziej konsekwentna, jest przemyślana, a nie stosowana w sposób raczej intuicyjny, jak to robił Adam Plug w r. 1896 tłumacząc dwanaście strof pierwszego rozdziału „Oniegina”, czy też jak Wiktor Gomulicki, który w trzy lata później przekładał scenę pojedynku. Plug był wyjątkowo niekonsekwentny, w każdej strofie stosując inny schemat układu rymowego: a-bm-a-bm, c-c, d-e-e-d, f-g-g-f; a w drugiej: a-b-a-b, c-d-c-d, em-f-em-f, g-g; Gomulicki buduje strofę typu: a-b-a-b, c-c, dm-dm, e-f-f-e, gm-gm, redukując do połowy ilość męskich zakończeń i pozostawiając nienaruszony schemat układu rymów jest to jednak rozwiązanie dosłownie połowiczne.

Ważyk, jak wdziliśmy, zdecydował się na zerwanie z kolejnością rymów rosyjskiej strofy onieginowskiej w imię słusznych założeń uwzględnienia naszej specyfiki językowej, w imię podstawowej tezy, że styl przekładu poetyckiego przejawia się w specyfice systemu językowego, który wymaga odpowiedników nie formalnych, lecz funkcjonalnych.

Przyjrzyjmy się na przykładzie analizy trzech tłumaczeń pierwszej strofy pierwszego rozdziału „Oniegina”, jak zmiana układu wersyfikacyjnego wpływa na klimat poetycki przekładu. Za podstawę tej analizy weźmy tłumaczenie Leo Belmonta z r. 1900, współczesny przekład Juliana Tuwima i przekład Ważyka. Pierwsza strofa, jako wprowadzająca w pewnym sensie w atmosferę poematu, wyjątkowo nadaje się do takiej analizy. Oczywiście sprawa komplikuje się i analiza z konieczności musi być niepełna, gdyż musimy uwzględnić niewymierny współczynnik temperamentu poetyckiego i rodzaju wyobraźni autorów tłumaczeń, a także różnicę pięćdziesięciu lat pomiędzy przekładem Belmonta a przekładami Tuwima i Ważyka.

Przekład Belmonta:
Straszek mój, poczłowiek sobie,
Gdy nie na żarty opadł z sił,
Szanować kazał się w chorobie;

To wcale nieżyły pomysł był!
Niejeden w ślady te się uda...
Lecz, Boże drogi, jakaż nuda
Przy chorym siedzieć noc i dzień,
Nie odstępować go jak cień!
Jakież nikczemne to kuglarstwo
Pół-trupa bawić garścią słów,
Poprawiać mu poduszki znów,
Smutnie podawać mu lekarstwo,
Wzdychać i myśleć w duchu

Przekład Tuwima:
Mój zany wujek, biedaczysko,
Gdy niemoc go zawiła z nóg,
Szacunku żądał — oto wszysko,
I cóż lepszego zrobić mógł?
Niech innym to za wóz posłuży...
Lecz, Boże, jakże czas się dłuży,
Gdy z chorym spędzasz noc i dzień

Nie odstępując go jak cień!
Ileż w tym czułym pielegnarstwie
Nikczemnej hłokryżki kwil!
Czy pacjent zjadł? czy pacjent śpi?
A nie zapomnij o lekarstwie...
Gdy smutnie wzdychasz cały czas,
A marzysz, by go piorun trzasnął!

A oto tłumaczenie Ważyka:
Mój zany stryj dał znać o sobie,
Kiedy na dobre już zaniemógł;
Jedź tu dogładać go w chorobie...
Na lepszy pomysł wpaść by nie mógł!

Ten przykład innym niech posłuży,
Wzdychać i myśleć sobie cicho:
Kiedy cię wreszcie porwie lichol



Ale, mój Boże, jak to nudnie
Spędzać z nim północ i południe,
Jak przy staruszkach czas się dłuży!

Ileż obłudy trzeba podleć,
Aby troskliwie zniżał głos,
Poprawiać jąski, gładzić koldry,
Lekarstwo smutnie pchać pod nos,

Wzdychać i myśleć sobie cicho:
Kiedy cię wreszcie porwie lichol

Punktem wyjścia jest dla Puszkina żartobliwe nawiązanie do zdania z bajki Krylowa „Osioł i Chłop”. „Osioł był samych czestnych prawil!” Ta parafraza a znajdowała bezpośredni odzwiek u każdego czytelnika rosyjskiego, z punktu charakterystyki stryja, więcej — nadając od razu z lekką żartobliwą tonacją narracji Puszkiniowskiej. Idiomatyczne to wyrażenie nie ma właściwie odpowiednika w języku polskim. Belmont rozwiązał je przez zdrobnienie „stryjaszek” i dodanie epitetu „pocziwiec”, Tuwim przy pomocy słów „zany” i „biedaczysko”. Ważyk racjonalizował całe pierwsze zdanie dodając do epitetu „zany stryj” słowa: „dał znać o sobie”, ale kompensując przy tym ton ironiczny pierwszego zdania słowami „kiedy na dobre już zaniemógł”. Tuwim zdanie „on uważał” siebie zastąpił „przetłumaczył”, „szacunku żądał”, natomiast Belmont zrozumiał je inaczej: że stryj kazał się pielegnować w chorobie. Belmont używa tu potoczego wyrażenia, które często słyszymy z ust lekarzy: „niech się pan szanuje”, co wcale nie znaczy, że lekarze żądają od chorego auto-szacunku. Ważyk uniknął tej dwuznaczności interpretacji, podając gotowe rozwiązanie: „dogładać w chorobie”. W następnym zdaniu, również żartobliwym, Tuwim idąc za imperatywem męskiego rymu zmienił nieco ironiczną tonację, a może nawet znaczenie, bowiem: „I cóż lepszego zrobić mógł?” ma trochę inny odcień znaczeniowy niż: „Na lepszy pomysł wpaść by nie mógł!”. Ważykowski: „Ten przykład innym niech posłuży” — bije o głowę Belmonta: „Nie jeden w ślady te się uda” — wyraźnie nieudolne. Natomiast następne z kolei zdanie najlepiej brzmi u Belmonta: „Lecz, Boże drogi, jakaż nuda”, gdyż: „Ale, mój Boże, jak to nudnie” — jest mniej swobodne, a „Jakże czas się dłuży” nie oddaje w pełni treści.

Druga połowa strofy ze względu na to, że znajdujemy w niej większe zagęszczenie rymów męskich, sprawia tłumaczom znacznie więcej trudności. Ważyk również w swojej transpozycji strofy onieginowskiej tutaj umiejscowił swoją ostatnią, rudymentarną parę rymów męskich. Belmontowi wyraźnie się druga połowa strofy nie udala, naciąga on zdania do męskich rymów, zupełnie bezsensowna jest „garść słów”, niepotrzebne jest

słowo „znów”, bardzo sztuczne „wzdychać i myśleć w duchu wraz”. U Tuwima tu właśnie następuje sztuczne przyspieszenie, swoista dynamizacja. Język Tuwima jest żywy i barwny, ale rozbićcie zdań („Czy pacjent zjadł, czy pacjent śpi”) stwarza atmosferę niepokoju, obcą oryginałowi. Ważyk na przestrzeni całego „oematu” również ma do pokonania w drugiej połowie strofy znacznie większe trudności niż w pierwszej, trudności skomplikowane jeszcze przez zmianę układu rymów. W miejscach, gdzie przypada u niego rym męski, nie może wykorzystać nawet przypadkowej zbieżności słów o tym samym znaczeniu, jaką niekiedy spotykamy w języku rosyjskim i polskim. Stąd najczęściej na rymach męskich spotykamy u Ważyka omówienie zamiast lapidarnego oddania tekstu, choć przekład jego na ogół jest bardzo wierny. Już pobieżna analiza następnej z kolei strofy potwierdza to spostrzeżenie. Strofa Ważykowska jest tu nie tylko bardziej płynna i potoczna, ale warietyjsza. Gdy Puszkini mówi:

Tak dumal młody powłesa,
Lęta w pyli na pocztowych,
Wświeszyniej woleju Złewlesa
Naslednik wślech swoich rodných.

— Belmont, zmieniając z konieczności tekst, zaczyna od przykroci, banalnego: „Mknąc wśród zielonych niw koberca, Hulaka młody dumal tak”, a kończąc naciągany do rymu: „W czym widać woli Zeusa znak”. Tuwim i w tym wypadku dynamizuje tekst:

Tak sobie myślał płochy młodziłk
Pocztowym koczem pędząc

Swych wujków, stryjków, cłoc-dobrodziłk

Jedyny dziedzic. Zeus tak chciał.

Owo „Zeus tak chciał”, pomimo że treściowo wierne, zrywa płynną kadencję wiersza, a wymieniając wszystkich powinowatych Eugeniusza, wtedy gdy Puszkini mówi ogólnie: „wślech swoich rodných”, jest niezgodne ze spokojną relacją oryginału. Ważyk dał tok znacznie równiejszy, zachowując wszystkie elementy narracyjne i poetyckie:

Tak sobie myślał mój lekkoduch
W pocztowym koczku mknąc przez pola,

Jedyny spadkobłerca rodu,
Gdyż taka była Zeusa wola.

Chcę tu jeszcze przy okazji zwrócić uwagę na jeden bardzo ważny czynnik, który ubocznie powstał przy zamianie rymów męskich na żeńskie. A mianowicie — siatka rytmiczna strofy wzbogaciła się o sześć dodatkowych sylab końcowych. W praktyce ma to ogromne znaczenie, gdyż pozwala na pełniejsze oddanie tekstu, przy tym ma niepośledni wpływ na instrumentację. Prezentując czytelnikom swego bohatera, Puszkini mówi: „Oniegini, dobrym moim przyjaciel”. W przekładzie Tuwima nie ma tego określenia po prostu z braku miejsca. Ważyk zwrot ten tłumaczy: „Oniegini, mój znajomy bliski”. Zwrot ten, moim zdaniem, jest bardzo ważnym elementem treściowym, bo jeśli nawet nie po-

znaniamy, że Oniegini jest przyjacielem, to przynajmniej wiemy, że jest bliski.

Chcę tu jeszcze przy okazji zwrócić uwagę na jeden bardzo ważny czynnik, który ubocznie powstał przy zamianie rymów męskich na żeńskie. A mianowicie — siatka rytmiczna strofy wzbogaciła się o sześć dodatkowych sylab końcowych. W praktyce ma to ogromne znaczenie, gdyż pozwala na pełniejsze oddanie tekstu, przy tym ma niepośledni wpływ na instrumentację. Prezentując czytelnikom swego bohatera, Puszkini mówi: „Oniegini, dobrym moim przyjaciel”. W przekładzie Tuwima nie ma tego określenia po prostu z braku miejsca. Ważyk zwrot ten tłumaczy: „Oniegini, mój znajomy bliski”. Zwrot ten, moim zdaniem, jest bardzo ważnym elementem treściowym, bo jeśli nawet nie po-

znaniamy, że Oniegini jest przyjacielem, to przynajmniej wiemy, że jest bliski.



Stronka rękopisu rozdziału piątego „Eugeniusza Oniegina” z rysowanymi przez Puszkina profilami Dekabrystów.

dzielamy zdania niektórych krytyków o rzekomych identyfikowaniu się Puszkina z bohaterem jego poematu, w każdym razie jest to jak gdyby poręka autentyczności atmosfery, w jaką za chwilę wprowadzi nas poeta, atmosferę tak dobrze mu znaną z bujnych lat po ukończeniu liceum. A przecież zwrot ten jest punktem wyjścia dla ostatniego dystychu strofy: „Tam niekiedy gulił i ja; No wrziedien siewier dla mienia”.

Szczegółową analizę porównawczą polskich przekładów „Oniegina” można by prowadzić bardzo długo. Wyobrażam sobie, że byłby to znakomity temat dla całorocznych wykładów uniwersyteckich, z których można by wyciągnąć wiele interesujących wniosków nie tylko w dziedzinie teorii przekładu poetyckiego, lecz i w dziedzinie badań nad „Onieginem”. Bo ktoż, jeśli nie tłumacz, musi sobie jak najdokładniej zdawać sprawę z intencji autora w każdym zdaniu, w każdym słowie, w każdej aluzji. Oczywiście dopiero suma tych prawdziwych spostrzeżeń i prawdziwych ich przekazań na język polski stanowi

o wartości przekładu. Cała moja uprzednia analiza, oparta jedynie na dwóch strofach, bynajmniej nie miała na celu artystycznej oceny przekładów, lecz wyłącznie ocenę metody. Dopiero wyniki zastosowania danej metody na przestrzeni większych partii poematu mogą do tej oceny prowadzić. Spotykałem się z różnymi opiniami co do tłumaczeń Tuwima i Ważyka. I tuwimistom i ważykowcom nie można odmówić słuszności, póki i jedni, i drudzy opierają się jedynie na pierwszym wrażeniu, nie wdając się w analizę metody. I może kiedyś, gdy Tuwim dokończy swego przekładu „Oniegina”, obaj tłumacze „dożyją tej pociechy”, że wśród czytelników wybuchnie ostra dyskusja, że podzielią się oni na dwa zważające się obozy. Będzie to miarą zainteresowania, jakie powinny wzbudzać dobre tłumaczenia wielkiej poezji.

Ja osobliwie, jako zwolennik tłumaczenia wierszy rosyjskich rymami żeńskimi i korzystania z doświadczeń tradycji wersyfikacyjnej, jestem za metodą zastosowaną przez Ważyka. Nie znaczy to, bym nie dostrzegał jej trudności, dlatego właśnie wyraziłem się w wstępie, że sprawa ewentualnego zmienienia ostatniej pary rymów męskich, względnie innego ich ustawienia, może być sporna. Chodzi mi przede wszystkim o te koncesje na rzecz rymu męskiego, koncesje tym trudniejsze, że nie znajdujące odpowiednika w umiejscowieniu w strofie oryginału, na jakie z konieczności Ważyk musi iść. Nie jest jednak słuszne wiązanie pewnego napięcia stylistycznego, które daje się zaobserwować w niektórych strofach przekładu Ważyka, z przyjętą przez niego metodą przekładu. Istotnie, napięcie owo od czasu do czasu występuje. Ponieważ jednak znaleźć je można w różnych miejscach strofy, należy wnioskować, że jest to jedynie wynik niedopracowania tekstu, co z pewnością tłumacz w następnych wydaniach usunie. Do rzędu takich napięć stylistycznych należałoby zaliczyć na przykład zwroty: „Mora! surowy na bok kładł, Karcił za psy, lecz nie wadził, I do ogrodu go prowadził”. Albo: „Tu jest natura całkiem gminna, Powabu siła całkiem mata”. Lub też: „Jeszcze ze wzdzie przykro ciska Na mrozie niecierpliwą koń”. Niekiedy posługuje się Ważyk zwrotami słownikowymi, które co prawda żywe były kiedyś w polszczyźnie, lecz w tej chwili, nawet przy dopuszczalnej dozie stylizacji, są albo mało czytelne, albo rażą nasze ucho niepozwiesznością. Na przykład: „Buja now tu się swatał — wara. Pietuszkow — także spuścił kwintę”.

Użyłem przed chwilą wyrażenia „dopuszczalna doza stylizacji”. Zagadnienie kształtu strofy onieginowskiej, zagadnienie męskich czy żeńskich rymów, którym tu tyle miejsca poświęciłem, są w gruncie rzeczy zagadnieniami roboczymi. Najistotniejszą rzeczą przy badaniu przekładu, badaniu jego adekwatności z oryginałem, jest koncepcja językowa, jest stopień obiektywizacji materiału poetyckiego. Pod słowem „obiektywizacja” teoretycy radzieccy rozumieją takie

choć znużonego Eugeniusza
Od dawna już nie mógł druk,
Do kilku dzieł przywykła dusza —
Tych nie wyrzucił za próg.
Tam śpiewał Głaura i Juana
Na stole leżał; z nim dobrana
Romanos wiazka; kartek stek,
W których się nieźle odbił wiek
I czelek współczesny z duszą

suchą,
Egoistyczna, nędzna, czeza,
Z myślą ozębłą, niemal złą,
Bez moralności, z wolą krucha,
Wlewał szukający błędnych mar,
Na próżny czyn tracący żar.

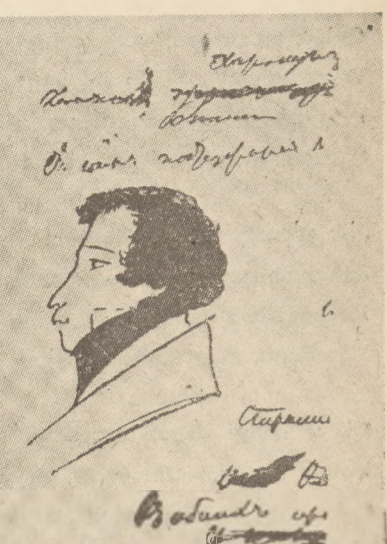
Ważyk:
Choć wlemy, znając Eugeniusza,
Ze machnął ręką na lekturę
I książki posłał do lamusa,
Jednak oszczędził poniekąd:
Zachował Głaura i Juana,
Dołączaj dwie lub trzy powieści,
W których się obraz wleku

mieścił
I całkiem wiernie jest oddana
Nieobyczajna i wyniosła,
Doświadczająca błędnych złud,
Współczesnych ludzi dusza

oschła,
Samolubnego serca chłód,
Mózg, co ze światem się
poróżnił,
I wre, i działa, ale w próżni.

Dziwna rzecz — są to dwa różne wizerunki, z których pierwszy jest tylko luźnym konturem słownym związany z pokazanym nam przez Puszkina obrazem. Treść jego natomiast jest całkowicie inna. Taką charakterystykę, używając prawie tych samych słów, mógłby dać na przykład Rzecki mówiąc o młodym Szlangbaumie — a przecież jakaż przepaść dzieli bohatera bajronicznego od kupeca w epoce pozytywizmu! Weźmy choćby ostatnie zdanie: „Wciąż szukającym błędnych mar, Na próżny czyn tracącym żar” — mógłby być Wokulski, ale przecież to zdanie całkiem co innego znaczy niż: „Mózg, co ze światem się poróżnił, I wre, i działa, ale w próżni”. Tak właśnie mówi Puszkini: „S jego ozoblenym umom, Kipiaszczym w diestwii pustom...”. To nie człowiek tracący energię na próżne czyny, lecz umysł, który działa w próżni! Różnica zasadnicza.

Nie pomawiajmy, broń Boże, Belmonta o złe wole, o świadome przeznaczenie tekstu. Nie, Belmont używał po prostu frazeologii swojej epoki, frazeologii, która nie przystawała do Puszkiniowskich treści. Jeszcze jeden drobny przykład: Gdy Puszkini ironicznie mówi o Onieginie: „Il' prosto budiet dobryj mały Kek wy da ja, kak celij swiet?”, Belmont pisze: „Albo pocziucem sobie będzie, Jak ty, jak ja, jak cały świat”. Czy można przypuszczać, by Puszkini w ten sposób oceniał swego bohatera? Czyż nie bardziej ironicznie, nie ostrzej brzmi ton Ważyka: „Czy może będzie -hop do rzeczy, Jak wy, jak ja, jak każdy z nas?”



Autoportret Puszkina na rękopiśle „Eugeniusza Oniegina” (1823 r.)

Narzędziem tej obiektywizacji jest właściwy dobór środków językowych, właściwe wykorzystanie przez tłumacza wszelkich możliwości języka ojczystego. I tu trzeba podkreślić, że Ważyk w swoim przekładzie „Oniegina”, dał nam Puszkina nieskazzonego, dał prawdziwą atmosferę poematu, prawdziwe widzenie epoki puszkiniowskiej. Przyjrzyjmy się na przykładzie, jakiego otrzymaliśmy „Oniegina” dzięki Ważykowi. Będzie to jednocześnie przykład, jak ważna jest dla tłumacza obiektywizacja materiału. Tłumaczenia Belmonta i Ważyka dzieli pięćdziesiąt lat. Pierwsze powstało w Warszawie, gubernialnym mieście carskiego „Prywilejskiego Kraja”, drugie w stolicy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Pierwsze ukazało się w trzynastym lat po „Lalce” Prusa w okresie jeszcze wśwokiej prężności idei pozytywistycznych, w okresie wielkiego naporu mieszczańskiej moralności. Drugie — w Polsce szybkimi krokami dążącej do socjalizmu. Zanalizujmy, choćby pobieżnie pierwszą lepszą strofę „Oniegina”, zawierającą charakterystykę postaci lub — jak w tym wypadku — charakterystykę bajronowskiego bohatera:

Belmont:
Choć znużonego Eugeniusza
Od dawna już nie mógł druk,
Do kilku dzieł przywykła dusza —
Tych nie wyrzucił za próg.
Tam śpiewał Głaura i Juana
Na stole leżał; z nim dobrana
Romanos wiazka; kartek stek,
W których się nieźle odbił wiek
I czelek współczesny z duszą

suchą,
Egoistyczna, nędzna, czeza,
Z myślą ozębłą, niemal złą,
Bez moralności, z wolą krucha,
Wlewał szukający błędnych mar,
Na próżny czyn tracący żar.

Ważyk:
Choć wlemy, znając Eugeniusza,
Ze machnął ręką na lekturę
I książki posłał do lamusa,
Jednak oszczędził poniekąd:
Zachował Głaura i Juana,
Dołączaj dwie lub trzy powieści,
W których się obraz wleku

mieścił
I całkiem wiernie jest oddana
Nieobyczajna i wyniosła,
Doświadczająca błędnych złud,
Współczesnych ludzi dusza

oschła,
Samolubnego serca chłód,
Mózg, co ze światem się
poróżnił,
I wre, i działa, ale w próżni.

Dziwna rzecz — są to dwa różne wizerunki, z których pierwszy jest tylko luźnym konturem słownym związany z pokazanym nam przez Puszkina obrazem. Treść jego natomiast jest całkowicie inna. Taką charakterystykę, używając prawie tych samych słów, mógłby dać na przykład Rzecki mówiąc o młodym Szlangbaumie — a przecież jakaż przepaść dzieli bohatera bajronicznego od kupeca w epoce pozytywizmu! Weźmy choćby ostatnie zdanie: „Wciąż szukającym błędnych mar, Na próżny czyn tracącym żar” — mógłby być Wokulski, ale przecież to zdanie całkiem co innego znaczy niż: „Mózg, co ze światem się poróżnił, I wre, i działa, ale w próżni”. Tak właśnie mówi Puszkini: „S jego ozoblenym umom, Kipiaszczym w diestwii pustom...”. To nie człowiek tracący energię na próżne czyny, lecz umysł, który działa w próżni! Różnica zasadnicza.

Nie pomawiajmy, broń Boże, Belmonta o złe wole, o świadome przeznaczenie tekstu. Nie, Belmont używał po prostu frazeologii swojej epoki, frazeologii, która nie przystawała do Puszkiniowskich treści. Jeszcze jeden drobny przykład: Gdy Puszkini ironicznie mówi o Onieginie: „Il' prosto budiet dobryj mały Kek wy da ja, kak celij swiet?”, Belmont pisze: „Albo pocziucem sobie będzie, Jak ty, jak ja, jak cały świat”. Czy można przypuszczać, by Puszkini w ten sposób oceniał swego bohatera? Czyż nie bardziej ironicznie, nie ostrzej brzmi ton Ważyka: „Czy może będzie -hop do rzeczy, Jak wy, jak ja, jak każdy z nas?”

(Dokończenie na str. 7-jej)

JERZY ZAGÓRSKI

NIKE STALINGRADZKA

Oglądano cię w chwale pełnej,
Wyrzeźbioną z ognia i gradu.
Przyszłaś do nas w epickim helmie
Śnieżna. Nike spod Stalingradu.

Jak Mieczowym Czudkie jezioro,
Berezyna Cesarskiej Francji,
Hitlerowskich frontów upiorom
Wschód surowo umiał odplacić.

Jak sygnały fali radiowych,
Jak ludowa wieść o pochodzie,
Dochodziła z dział raketowych
Wyrębana muzyka w lodzie.

Jak kurzawę nad Azją burza
Gna pociski wichury wycie,
Pepeszami zakwitły wzgórza,
Odchodzili na dół pobici.

Ci, co Wołgi sięgali brzegów,
Potem Donem, Dnieprem, Prypiecią
Odchodzili w przestrzeni śniegów
Jedną zimę, drugą i trzecią.

I śniegowe musiały pługi
Z szos do rowu trupy odtrącać;
Dróg tysiące odwrotu smugi
Przemierzały w długich miesiącach.

Ile razy niebo nawisło
Ulewami metali szczerze?
Jeszcze jesień trwali nad Wisłą,
Wiosną mosty rwali na Odrze.

Prosty szlak jest na mapie — tyle
Tylko zgięty co równoleżnik...
A w istocie w floresów milion
Przedłużony w śniegu bezbrzeżnym.

Meta nicóż zbrodni ujawnia,
Odwrót ścierwem pobitych znaczy.
W Żytomierzach, potem Wrocławskich
Pancerfausty nieśli w rozpacz.

Dziś, gdy innych nazw dźwięczy groza;
Indonezja, Burma, Malaje,
Gdy daleka płacze Formoza,
Zadrżał Egipt, Afryka wstaje,

Śmierć przez góry Orawskie goni,
Dopędziła w kotle Myślenic.
Zdrajca stepów z zdrajcą Walonii
Leżą, przy nich esesman Niemiec.

Indie, które mają ocean
Własny, ogniem podziła dymią,
Ostrzeżenie tym, muzo, śpiewaj,
Co chcą nowych dla Nike imion.

WANDA KARCZEWSKA

GODZINA PRZED ŚWITEM

O tej godzinie w innych krajach,
dalekich, ale nam nie obcych,
noc dogorywa pożarami i spadają
w rzeki konstrukcje mostów. Z karabinów
osuwa śmierć zwężone palce chłopców.

O tej godzinie u nas matki wstają
słuchać oddechu śpiących synów.
Za chwilę błysną serca jak żarliwy lont
artysty, robotnika, który kładzie
na nowy dach ostatni gont
i spod nawarstwień wieków wydobywa
starej katedry wczesny gotyk.
Nad mapą sztab się schyli, by obliczyć
drogę do wiejskich bibliotek
Gorkiego, Hugo, Mickiewicza.

O takiej porze, co jak jabłoń w sadzie
ciężkie gałęzie nad głowami schyla
i owoc doświadczenia w dłoń poety kładzie,
czujesz, choć głowa twa już w srebrnym pyłe,
że to co najważniejsze jeszcze jest nienapisane,
jak nie skończone jest to, co ludowi
piękne i mądre będzie dane,
O tej godzinie zwykłe wieść rozmowy
Z tymi co zmarli, albo są nie z nami,
z kochanką, bratem albo ojcem
i nagle — zrywasz się! Nie, nie zaśpiewał słowik.

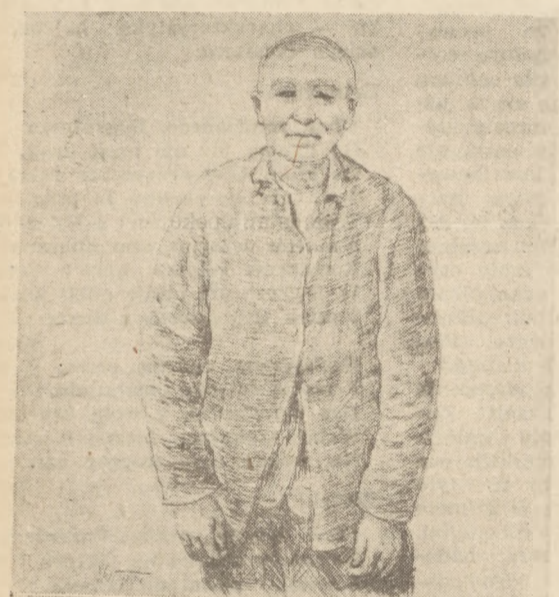
Kto z nas nie zaznał takiej ciszy,
kiedy wypada nagle pióro z dłoni,
gdy ponad ziarnem, które chlebem wzbiera,
nad polem, gdzie skowronek dzisiaj w zbożu dzwoni,
a wczoraj tylko kret w pustkowiach mieszkał,
nad szczęściem kobiet, które w łonach wschodzą
najdroższym kształtem dziecka,
posłyszysz nagle szcęk wojennej broni?

Zrywasz się, biegniesz, chciałbyś iść
obudzić syna, tulić go do piersi,
i zakryć dłonią źdźbło ojczystej trawy, liść,
twarze przyjaciół chcesz osłonić,
tych, co są w trudnych chwilach z nami
i tych, co zmarli, śmierci jednak uszli
i trwają przy nas życiu najwierniejsi,
aby jak gwiazdy świecić wiekom imionami
Horacy, Villon, Heine, Puszkina.

Lecz nagle stajesz, ocierasz ból łyzy,
oto nabrzmiewa noc i — słyszysz — stąpa rzesza:
szczerniała w ogniu on, Korei syn,
i w las pędzony Malaj, milion zabitych z Chin.
On człowiek prosty, który wciąż umiera
na wszystkich frontach, on, który wskrzesza
spalone miasta i umęczony glob,
idzie, aby od siewców śmierci żądać rozrachunku
z dziedzictwa Marii Curie i Pasteura
Idzie pokoju gniewna armia. Czy słyszysz jak się zbliża
Belojannisa brat i głodny włoski chłop
i twój, Joliot, wzbudzony lud Paryża?

IGOR SIKIRYCKI

Wiersze, które lud pamięta

rys. H. Skrupski
Michał Kajka

Ja też zasną z mojej strony
Póki serce we mnie bije,
Uprawiam wiedzzy zagony
I układam poezję...

Michał Kajka

Po niebie płyną ciężkie, niskie chmury. Wieje stry, zachodni wiatr. Niesie ze sobą wilgoć mazurskich jezior i słaby, ledwie wyczuwalny zapach Puszczy Piskiej. Stąd ze wzgórz widać prawie całą południową powierzchnię jeziora — Tauto i piaszczystą zatokę, z której wypłynęły rybackie łodzie. Płyną pod wiatr. Miarowo pochylają się sylwetki wiosłarzy. Jest zupełnie cicho, tylko czasami w dulkach zaskrzypia wiosła... I nagle z pierwszej łodzi rozlega się śpiew... Z początku wiatr szarpie słowa rybackiej pieśni i przynosi na wzgórze tylko strzępy: „Pierścień toczy... kole ciebie... nie będzie... Nagle uspokaja się i podaje całą zwrotkę:

A ja się zrobię drobnoludną rybeczką,
Popłynę ja bystruchną wodeczką,
A ty musisz moją być,
Wolę moją wypełnić...

Teraz już całkiem wyraźnie płyną słowa pieśni nad chatami wioski Skomackie, którą ze wszystkich stron otacza jeziora: Skomacko, Milusze, i Druglin.

Kto wie, może kiedyś z tego samego wzgórzka pieśń tę słyszał poeta mazurski, Michał Kajka, który urodził się właśnie tu w Skomacku 27 września 1858 roku. Był to okres, w którym rosnąca fala germanizacji nie zdołała jeszcze zniszczyć pięknych tradycji tych ziem sięgających 16 wieku.

Powiatowe miasto Elk, leżące daleko od wypadowych baz kultury niemieckiej, przez długie lata było jeszcze ośrodkiem polskości, mimo że w 1810 roku partykularną szkołę polską istniejącą tu od 1546 roku władze przekształciły w niemieckie gimnazjum.

Niezwykle ważną rolę w hamowaniu germanizacyjnych zapędów pełniło w tym okresie czasopismo „Przyjaciół Ludu Lecki”, redagowane przez wychowankę miejscowego gimnazjum Gustawa Gizewiusza, toteż od roku 1825 odsetek ludności mówiącej po polsku z 88,8 proc. do roku 1861 spadł zaledwie do 78,6 proc.

W życiorysie Michała Kajki znajdujemy takie zdanie: „Do długiego też czasu nie słyszałem języka niemieckiego”, a Leon Sobociński, który odwiedził Kajkę w 1935 roku pisze: „We wsi Skomacko i Ogródek upływały mu lata dziecięce i dojrzałe. Polskość tych wiosek przetrwała wieki całe. Atmosfera tak była polska, że nikt po niemiecku nie rozmawiał, bo i nie umiał. Gdy byli wzywani do urzędu, do sądu — musiano wzywać tłumacza...”

O wczesnym dzieciństwie Michała Kajki wiemy bardzo niewiele. W Kalendarzu Mazurskim z roku 1939, w nocie zatytułowanej „80-lecie urodzin Michała Kajki poety mazurskiego”, znajdujemy taką uwagę: „Do szko-

ły chodził od 6 — 14 lat i to trzy i pół roku w Skomacku do nauczycieli Jasińskiego i Oweczarka, a cztery i pół roku w Rostkach do nauczyciela Kuca. W szkole uczył się dobrze tak że nigdy kijów za naukę nie oberwał. Nauczyciele, a zwłaszcza Kuc, miał z niego wielką wyrazkę, bo pomagał mu uczyć dzieci. W szkole uczył się po polsku, a po niemiecku uczono tylko trochę czytania i pisania...”

A później — później Kajkę zaczęło uczyć samo życie. Już jako czternastoletni (najstarszy) chłopiec, musiał opuścić rodzinną chatę, w której rozgościła się nędza, i szukać pracy u bogatego gbur. Był najpierw pastuchem, a później parobkiem. I właśnie w tym czasie po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że otacza go społeczność podzielona na dwa wrogie oboje. Wnikliwym spojrzeniem młodego poety dostrzegł wyraźnie różnicę, jakie dzielią przywilejowaną klasę bogaczy od wyzyskiwanego ludu. Dostrzegł i zapamiętał, aby później niejednokrotnie dać temu wyraz w swoich wierszach.

„Wnetki nam koszulę zedrą i ze skóry nas obedrą...
Co przodkowie dotrzymali i potomkom w spadku dali
Wszystko jakoś nam niszczeje, wiatr niedoli wstę
rozwieje...”

Coraz więcej brniemy w długi jako jeden tak i drugi.
Choć pracujem w pocie czoła, od zranka do nocy zgola
Lecz dobytek ulatuje, nasze życie bieda truje.
A choć sypią miliony, lecz lud biedny, uciśniony
Ten z tego mało dostanie, tylko jakiś tam mość panie!
Nasze grunta zadłużone, podatki obciążone,
Wnetki z nich nas wyprowadzą, na subhaście je
przedadzą.

A nam nic nie pozostaje, jak ciągnąć w nadreńskie kraje,

Szukać takiego zawodu, aby nie umierać z głodu.
Jednak bieda w chyżem temple, uprzedziła nas na wstępie,
Gdyż zajęła odmówiono, bowiem ludem przepę-
niono.

Teraz całkiem zawiedziony pragnie nazad w swoje strony,
Lecz bieda zaś przy nim staje, bo na podług mu nie staje.

Gdy wrócisz na twe zagony, już tam Niemiec obsa-
dzony,

A choć przybył tu ubogi, lecz dostaje zapomogli!
I w pośród mazurskiej bracl się rozwija i bogaci!
I to Niemiec! i to Niemiec! Lecz Mazur jak cudzoziemiec!...

We wspomnieniach Leona Sobocińskiego o Kajce czytamy: „Michał Kajka od wczesnej młodości miał pociąg do pisania. Mając siedemnaście lat, jako pomocnik murarski - ciesielski, zajęty pracą, która go nie pociągała, osadzał sobie to gorzkie jarmuz obowiązku pisanem wierszy. Pisał ukradkiem i to ołówkiem na heblowanej desce, na gorąco, a potem te deski zabierał do domu i przepisywał”.

Ale nie tylko niedola wiejskiej biedoty stała się tematem wierszy Kajki. Ciągłe poszukiwanie roboty, wędrówki z kielnią i toporem zbliżyły go do problemów miejskich. Poczuł, że więzy łączące go z ludem pracującym zacieśniają się coraz bardziej, i jednocześnie zrozumiał, że w mieście również występuje wyraźna linia podziału między klasą bogaczy a żyjącym w nędzy proletariatem. Wiersz na ten temat powstanie znacznie później i dopiero po plebiscycie zostanie zamieszczony w „Mazurskim Przyjaciół Ludu” pod znamienym tytułem „Losy biednego ludu w mieście”

Pełno biedy, pełno trudu,
„Mój kolego, czy słyszyłeś,
Jakie dzisiaj drogie życie?”
Nie zarobie tyle myta,
Abym kupił centnar żyta.
Gdzie komórne, różne statki,
A gdzie światło i podatki.
A gdzie opał i odzienie
I też wszelkie wyżywienie.
Wciąż się bieda gorsza robi
Choć cośkolwiek się zarobi.
Ale kiedy zima przyjdzie,
To czekowi licha wyjdzie;
Tedy pójdzim wszyscy hurra!
Tam na przekłętym gburu.
On za drogo wsił sprzedaje,

To nam na żywność nie staje,
„Żeby tak Polacy przybili
Nas z tej nędzy wyzwolili”.
Wszystkie stany narzekają
I na Polskę spoglądają.
Aby ich wyrwała z błądy,
Bowiem nie ma innej rady.

„Do pisania wierszy — pisze Kajka — miałem nadzwyczajną chęć, może i trochę talentu. Rozwijanie moich zdolności w dużej mierze zawdzięczam niedoli moich rodaków, których spotkała taka straszna krzywda za czasów Bismarcka, kiedy to zaczęto katować dziecko za używanie języka polskiego i to nieraz w sposób barbarzyński...”

Był to okres, w którym fala germanizacji przybrała największe nasilenie. Język polski wyrugowano ze szkół i kościołów. I znowu poeta zdobył jeszcze jedno gorzkie doświadczenie. Oto można panowie pierwszy wyzbyli się ojczystego języka, a w ślad za nimi poszli wiejscy bogacze. Jedynie lud został wierny swojej mowie. Wtedy to Kajka, syn i poeta ludu, rozpoczął piórną walkę, którą prowadził do ostatnich dni swego życia. Walkę o ratowanie mowy ojczystej.

Mowo! coś przed laty,
Kwitła blaskiem życia:
Złożyły cie katy
Dziś w śmierci powicła.
Pomóżcie, brałowie,
Stary jak i młody,
By ojczyste mowie
Błysł promień swobody.
Niech zabrzmia na nowo
Naszej mowy dźwięki,
A niech polskie słowo
Niesie Bogu dzięki.
Niech moje utwory
Dostęp do was mają,
Niech chaty i dwory
Niemi nie wzgardzają.

Podziwu i czci godna jest siła i odwaga, z jaką ten samouk oddaje się walce, za którą w każdej chwili grozi mu nie tylko szykany ze strony władz i policji, ale i więzienie.

Poeta brał również czynny udział w życiu politycznym. Współ z Bogumiłem Labuszem, Bogumiłem Linką, Gustawem Leydingiem i Bogumiłem Leyką stał się założycielem „Mazurskiej Partii Ludowej”, a w wiele lat później „Zjednoczenia Mazurskiego”...

Tymczasem na ziemi mazurskiej życie polskiej biedoty z każdym rokiem stawało się coraz trudniejsze. Okres plebiscytowy jeszcze bardziej zastrzył walkę. Kajka pisze:

Nad rzekami mazurskimi,
Unoszą się het gdzieś śpiewy,
Jednak dźwiękami obcymi,
Niby z morskich wódów mewy
Do nas stadami przybyły,
Nasze śpiewy zagłuszyły.

Nasze harfy, nasze lutnie,
Na wierzbach zawieszlim,
Pozwieszalim głowy smutnie
W wórek żaloby je skrylim.
Bowiem co nas weseliło
Od nas się gdzieś oddalilo...

Ale nawet i w takiej trudnej chwili poeta nie traci nadziei. W „Mazurze” zamieszcza wiersz p.t. „Po deszczu słońce błysnie” kończąc go słowami:

Choćlaż burza na nas godzi,
Zasypuje nas zawleją —
Jednak się raz wy pogodzi,
Błysnie nową nam nadzieją.

Choćlaż burza tuż nad nami
I oblok ciemny nas cśnie,
A deszcz leje strumieniami —
Lecz po deszczu słońce błysnie.
W „Mazurskim Przyjaciół Ludu” organie „Zjednoczenia Mazurskiego” pod datą 24 lutego 1926 roku na pierwszej stronie ukazała się bardzo charakterystycz-

Wykonując zadania wynikające z podjętego na ostatnim Plenum ZLP zobowiązania roztoczenia opieki kulturalnej nad Ziemiami Odzyskanymi — Związek Literatów Polskich zaopiekował się puszczoną poetycką po Michale Kajce. W najbliższym czasie ukazuje się zbiór jego wierszy, zaś w dniu 14-go grudnia b.r. we wsi rodzinnej Kajki odbędzie się uroczystość odsłonięcia pamiątkowej płyty na grobie poety oraz otwarcie świetlicy jego imienia. (Red.)

na na owe czasy wzmianka: p.t. „Heimatdienst” na Warmii wprowadza niemiecką do kościołów w postaci ksiązek do nabożeństwa”. „Wieta o tem, że „Heimatdienst” pragnie jak najprędzej zdusić u naju wszystkich co jeszcze za gadką macierzystą stoi. Nie tylko u naju czyni to „Heimatdienst” ale także na Warmii. Rozchodzi się „Heimatdienstowi” mianowicie o młodzież. Kole w oczy tę organizację, że na Warmii mamy jeszcze młodzież, która modli się i śpiewa w kościele w języku ojców swoich, to jest po polsku. Dla tej młodzieży zakupił więc „Heimatdienst” bardzo wiele niemieckich śpiewników z napisem: „Vergiss die deutsche Heimat nie! Der Heimatverein!” Te książki rozdaje się młodzieży w kościołach. Zupełnie słusznie oburza się na tę robotę wychodzącą w Olsztynie „Gazeta Olsztyńska” przyrównując „Heimatdienst” do diabła, który ubrał się w komżę i ogonem na mszę dzwoni. Tak daleko już doszliśmy, że nawet książki do nabożeństwa używa się jako narzędzia do germanizacji. Mazury! Otwórzcie oczy!”

Kajka już dawno miał oczy otwarte. Zrozumiał, że w obronie języka ojczystego wypieranego nawet z kościoła musi napisać szereg nowych pieśni polskich, których brak dotkliwie odczuwa lud mazur-ki. W taki sposób twórczość religijna poety stała się jednym ze środków w celu obrony ojczystej mowy. Stąd właśnie w dorobku Kajki znalazła się tak okazała liczba utworów religijnych pisanych „Na gody”, „Na Trzech Króli”, „Na Nowy Rok” i inne święta kościelne. Ale nawet i w tym okresie poeta nie pisze wyłącznie pieśni religijnych. Sprawy ludzkiej biedoty są mu nadal bliskie i nie może powstrzymać się od tego, by nie przypiąć latki proboszczowi w wierszu p.t. „Ksiądz i chłop”,

Przed kilkudziesięciu laty,
Czy ubogi, czy bogaty,
Musiał księdzom za wstę płacić,
Choćby przyszło się utraćić.

Choćby przyszło i pożyć
By tylko kto chciał użyć,
Bo trzeba na zapowiedzie,
Niechaj się tam jak chce wiedzic!

Żyją też w pamięci ludu mazurskiego i inne strofy wierszy Michała Kajki, szczególnie wśród starszego pokolenia, które przecież tak niedawno powtarzało wraz z poetą:

O, ojczysta nasza mowa
Coś kwitnęła nam przed laty,
Zakwitnijże nam na nowo
Jako kwitną w polu kwiaty.

Niestety, poeta nie dożył tej chwili, w której na ziemi mazurskiej na nowo zakwitła polska mowa. Nie doczekał tych dni, w których lud Mazur i Warmii na zawsze został wyzwolony z ucisku narodowego i społecznego, łącząc się w jedną nierozzerwalną całość z młodą Ludową Ojczyzną.

Umarł we wrześniu 1940 roku i pochowany został na cmentarzu Ogródka, wioski, którą rozlał swoimi wierszami i płomienną miłością Ojczyznę.

W bibliotece Stacji Naukowej Instytutu Zachodniego w Olsztynie znajduje się „puszcina Kajki”, na którą składa się spora ilość niedrukowanych lub niedokończonych rękopisów, oraz kilkanaście ksiązek, wchodzących w skład biblioteki poety. Są tam Psałmy Kochanowskiego, jest „Pan Tadeusz”, tomik Słowackiego, są „Krzyżacy”, a nawet i skróty „Iliady” i „Eneidy”.

Sam poeta doczekał się z życia tylko jednego wydania swych „Pieśni Mazurskich” w 1927 roku nakładem redakcji „Gazety Mazurskiej”. Toteż dziś, kiedy nad wolną ziemią mazurską rozlega się radosny dźwięk polskiej mowy, o którą walczył z takim poświęceniem ludowy poeta Michał Kajka, wydane zbiorowe jego wierszy powinno być nie tylko naszym obowiązkiem, ale jednocześnie stać się wyrazem wdzięczności całego narodu.

Igor Sikirycki

*) Przy opracowaniu tego artykułu korzystałem z materiałów zgromadzonych w bibliotece Stacji Naukowej Instytutu Zachodniego w Olsztynie oraz z wyczerpujących informacji kierownika tej instytucji, ob. Emili Biedrawiny-Sukertowej.

BENEDYKT HERTZ

Życiorys własny satyryka



Benedykt Hertz w wieku lat 30.

Wspomnienie o Benedycku Hertz

„Co się tyczy daty mego urodzenia — pisał do mnie Benedykt Hertz w jednym ze swych listów — to tym epokowym dla mnie dniem był 1 czerwca 1872 r. dlatego, prócz dwu imion: Benedykt Józef, mam trzecie — Robert.

„Jeśli Bóg da doczekać” — jak mówiła moja matka, 7 czerwca r. 1952 skończył lat 80. Ładny kawał czasu, co?”

„Piękny kawałek czasu objął Benedykt Hertz swym pracowitym życiem. Syn sybiraka i bratanka uczestnika Komuny Paryskiej wyniósł z domu nie tylko szczerą rewolucyjną patriotyzm, ale również pewną zawadiackość, która nie opuszczała go aż do ostatnich dni życia. Ta junacka, rzekłbym zadzierzystość wznosząca kontrastowała z jego niepozorną postacią. Kiedyś, gdy przyszedł do redakcji „Szpilek” w swej charakterystycznej maciejówce, nowa urzędniczka, nie wiedząc z kim ma do czynienia, zadada mu sakramentalne pytanie: „Czy mogę wiedzieć w jakiej sprawie?” Pan Benedykt wziął się pod boki i odparł gromko: „Jabłęk nie sprzedaję, Hertz jestem.” To powiedzenie weszło do potocznego języka „szpilekowców”.

Benedykt Hertz zaczął pisać dość późno, bo dopiero na początku naszego stulecia, licząc już lat blisko 30. Pierwszy okres jego twórczości zbiegł się w czasie z niepodzielnym panowaniem Młodej Polski. A w tym literackim klimacie Hertz nie miał szans na zrobienie kariery. Forma, którą wolał, wywodziła się przecież z najświetniejszych tradycji naszej literatury satyrycznej, od Biernata z Lublina począwszy. W każdym swym słowie i w każdym obrazie był Hertz pisarzem realistycznym o niezwykłej prostocie, klarowności i zrozumiałości wiersza. A poza tym jeszcze był pisarzem wyraźnej tendencyjnym, co obniżało przecież miarę sztuki. Pisał o tym sam Hertz w swym wspomnieniu autobiograficznym p.t. „Jak zostałem geniuszem”:

„Był początek obecnego stulecia, secesja w sztuce i ogromny urodzaj na geniusze... Przesiadywało to całe stado na kawiarniach i żłopało czarna, dyskutując o sztuce dla sztuki (przez jak najwięcej „s”), o Zarathustrze, o nagiej duży, pra-illach bytu, o Mangdzie w Jasińskim, o Nietzsche i o Wasińskim. A ja, bidulek, siedziałem w pobliżu i udawałem, że rozumiem, o co chodzi”.

Kult szarlatanerii, niezrozumiałości, panujący wówczas w naszej literaturze, zaciążył na ocenę Herta jako pisarza „niewielkiego lotu”. Sam Hertz poddał się widać tej z gruntu niesłusznej opinii, skoro we wstępie do powojennego wydania swych „Bajek”, będących niedoścignionym arcydziełem tego rodzaju literackiego w ciągu wielu dziesiątków lat ostatnich, potrafił napisać o sobie: „Za poetę nigdy siebie nie uważałem i jeżeli Czachowski doszukiwał się w niektórych moich utworach „poetyckiego wraza”, to w każdym razie o „wydobywaniu” go nie myślałem”.

Wbrew temu, co pisze Hertz w przedmowie do „Bajek”, krytyka burzująca nie była nigdy łaskawa dla jego twórczości, zarówno ze względu na jej „dostępność”, jak i na jej postępowy i demokratyczny charakter. Łakomczość pochlebnych wzmianek, pięciowierszowe zachwyty — wszystko to niewątpliwie stanowiło metodę. Z poważnych krytyków, jedynie Feldman ocenił go właściwie. Ale indywidualizm Feldmana posuwał się przecież tak daleko, że z wydania na wydanie owej „Współczesnej Literatury Polskiej” potrafił zmienić gruntownie opinię o pisarzu. Charakterystyczna dla stanowiska krytyki wobec twórczości Herta może być opinia Brücknera. Po zachwytach na temat elitarniej twórczości Lemańskiego pisze on: „Niżej stoją bajki Benedykta Herta... Wiersz jego mniej cięty, mniej jawowy... Wena Lemańskiego nie równie obfita...” A wiele to bajek Lemańskiego zostało w żywej tradycji? Na pewno mniej, niż Herta.

W ogóle Lemańskim, bajkopisarzem nie z metodą realizmu nie mającym wspólnego, zawsze wykluczano Hertzowi oczy.

Dopiero w Polsce Ludowej, stanowiącej realizację nie zawsze dostatecznie świadomych dążeń poli-

tycznych Herta, oraz zwycięstwo jego metody pisarskiej, oddano mu należne miejsce. Twórczość świętęgo bajkopisarza, wnikliwie i obszerne potraktowana w kilku artykułach Janu Szelęga, zastępuje jednak na bardziej szczegółową analizę krytyczną. Już choćby sama forma jego bajek, absolutnie mistrzostwa we władaniu wolnym wierszem, wywodzącym się w prostej linii od Niemiryca. Przypuszczam, że walory recytacyjne jego utworów wiążą się z wielkimi aktorskimi zdolnościami Herta. Przecież Hertz, zanim jeszcze wziął pióro do ręki, występował w Warszawie jako recytator w konspiracyjnych „journaux parles”. O Hertz — aktorze pisze Boy-Zeleniński w swej recenzji z „Szopki Warszawskiej”, wystawianej w Teatrze im. Fredry w r. 1924: „Grał Dziadka (zarówno jak diabła) autor Szopki p. Benedykt Hertz... I nagle (co już po pierwszym występie w „Qui Pro Quo” stwierdzono) ten literat okazał się aktorem, który mógłby niejednego członka ZASP w kosi róg zapędzić”. Hertz był niedoścignionym interpretatorem własnych utworów. Na zebraniu Sekcji Satyry ZLP, poświęconym Jego twórczości (r. 1951) zarecytował na naszą prośbę kilka swych słynnych bajek. Kiedy ten 80-letni starzec ilustrował świetnym aktorskimi gestami ucieczkę z szpitala („Tchórz”):

„Pędzi, cwałuje zgraja hałaśliwa, a przodem mały zajączek wyrwaw.

Pies dopędzał go już, gdy szarak w bok dał skok i znikł.”

mieliśmy pełne złudzenie nagonki, nawoływaną jeźdźców, poszczekiwanie ogarów.

Benedykt Hertz zajął w Polsce Ludowej, mimo podeszłego wieku, czynną postawę bojownika. Polska Ludowa uściwiła ocenę twórczości Benedykta Herta, widząc w nim żywy symbol ciągłości tradycji naszej literatury satyrycznej. My, młodzi satyrycy, byliśmy dumni, zaliczając się do kolegów Benedykta Herta, biorąc wraz z Nim udział w pracach Sekcji Twórczej Związku Literatów Polskich, dyskutując z Nim o aktualnych problemach naszej twórczości. Jako kolega odznaczał się Hertz wielką skromnością, wielką życzliwością dla młodego pokolenia pisarzy. Dotkliwie odczuwaliśmy brak jego śmiałych, zawadiackich nieco wystąpień.

Do ostatnich chwil życia zachował Benedykt Hertz młodzieńczość ducha i umysłu. Napisał już w Polsce Ludowej szereg bajek i satyr, z niezrównaną „kieszkańską” wrażliwością. W ostatnich dniach wyszedł nakładem „Czytelnika” tom jego „Satyr” (1919—1951), w którym obficie reprezentowana jest powojenna twórczość Herta. Miarą jego pracowitości może być choćby fakt, że mając 65-ty krzyżyk na karku, przez długi czas pisywał codzienną fraszkę na łamach jednego z dzienników. Niezrównany znawca polszczyzny prowadził pod kryptonimem „Ostrowidz” dział porad językowych w „Głosie Ludu”, bezitośnie piętnując zachwaszczona naszej gwary dziennikarskiej.

„Bajki” i „Satyry” Herta, które ukazały się ostatnio, nie wyczerpują z pewnością dorobku pisarza. Warto poszerzać jeszcze w przyszłości po Hertz i zadać sobie trud odszukania Jego zaginionych utworów. Hertz pisał do mnie w jednym z listów na temat kompletowania „Satyr”: „Mozolniejsza to praca, niż przewidywałem, wobec szczerb w naszych bibliotekach. Np. kompletu „Dziennika Popularnego” i „Czarno na Białym” znaleźć nie mogę. A w obu pismach sporo drukowałem. Odbitki zaś zniszczyli okupanci, okradając i dewastując moją willę w Podkowie”.

W nocy z 30 na 31 października br. ukończył Benedykt Hertz pracę nad „Antologią Bajki Polskiej”, którą przygotowywał od szeregu miesięcy dla Czytelnikowskiej Biblioteki „Szpilek”. Około godziny 2 napisał na czystej kartce tytuł książki. Śmierć zaskoczyła go we śnie.

Tak oto zakończył swe długie, pracowite, pożyteczne i piękne życie bajkopisarz Benedykt Hertz.

Antoni Marianowicz

Urodziłem się w Warszawie dnia 7 czerwca 1872 r. Atmosfera domu, w którym upłynęły pierwsze lata mego dzieciństwa, pozostawiła niezatarty wpływ na całym życiu. Ojciec dopiero co wrócił z zesłania i wciąż nas odwiedzał jego towarzysze syberyjscy; ich zaś rozmowy, ich śpiewy chóralne, mówiące wciąż o powstaniu, mocno oddziaływały na wrażliwą wyobraźnię chłopca. Ojciec na Sybir wędrował dwukrotnie. Aresztowany w r. 1861 u Bernardynów, dostał się do Cytadeli, stąd piechotą na Ural. (Notatki z tego spaceru znajdziesz w roczniku „Świata” z r. 1916). Gdy doszedł na miejsce (po 9 miesiącach) ogłoszono amnestię. Wrócił więc do Warszawy, ale trafił akurat na rok 1863. Wpłacił się ponownie i wraz z dwoma braćmi — Leonem i Adolmem, wziętymi z „lasu” — pojechał, teraz już koleją, aż do jakiegoś Tisula, gdzie spędził przeszło 6 lat.

Matka moja, córka Henryka Libkinda, leksykografa i znanego w swoim czasie zwolennika asymilacji Żydów (co się skończyło przejęciem wszystkich dzieci na katolickim) chętnie gościła przyjaciół ojca i w ich zebraniach żywy brała udział.

Miałem pod ich opieką dzieciństwo akasmitne Ojciec (choć go powstanie wykołowało; chciał być matematykiem, a został buchalterem) zarabiał dobrze i na utrzymanie domu nie skąpił. Jako wróg caratu, dzieci nie oddawał do szkół rządowych, ale do prywatnych, „polskich”. Gdy skończył lat 8, wstąpiłem do pół-konspiracyjnej szkoły ex-nastora Hermana Beninięgo, gdzie wychowawcą był Adolf Dygasiński. On to, po ojcu, najmocniejszy wpływ na mnie wywarł. Uczymy się tu niezłe. Ale po 5-ciu latach Hurko, z namowy Apuchina, szkołę tę zamknął. Oddano mnie do Pankiewiczów, ale nie czułem się „w swoim sosie”. Nauczyciele nie odzywali się inaczej, jak po rosyjsku i w ogóle cały zakład prowadzony był jak gimnazjum państwowe.

W r. 1890 nagły, przypadkowy zgon ojca zmienił całkowicie położenie rodziny. Z dobrobytu spadliśmy w nędzę. Przed samym ukończeniem szkoły musiałem ją opuścić i iść się pracy zarobkowej. Wstąpiłem do tego samego biura, w którym pracował ojciec, ale moja pensja wynosiła 50-tą część pensji ojca. Wzięła się do zarobkowania matka (żadnej nie mając specjalności), wzięły się dwie siostry (było nas wszystkich 6, a 7 w drodze). Ja, najstarszy, miałem być główną podporą.

No i stałem się nią po pewnym czasie. Zaczęłem awansować. Ale praca biurowa nie dawała mi zadowolenia. Toć miałem pójść na politechnikę. Tak planował ojciec. Wejrzawszy za kulisy przemysłu, ogarniało mnie coraz większe obrzydzenie. Zabrałem się do samokształcenia, czytałem coraz więcej mądrych książek, uczeszczałem na urządzane konspiracyjne wykłady Krzywickiego, Smoleńskiego, Mahrburga i inn. Z kursemi tymi byłem już dawniej w stosunkach, bo za życia ojca matka często dawała mieszkanie nasze do dyspozycji t.zw. „Uniwersytetu latającego”. Gdy w latach 90 zaczęło się w społeczeństwie gotować a setne rocznice wypadków przed i porobiorowych mnożyć, w ruch ten i ja się wciągnąłem. Miałem to ten skutek, że w r. 1894 dostałem się do więzienia za udział w manifestacji na cześć Kilińskiego. Spędzone tu trzy miesiące w towarzystwie, podminowanym rewolucją, stały się przełomowym w moim życiu momentem. Zbliżałem się do kół ówczesnej „Czerwonej Warszawy”. Zaczęłem pisać. W grudniu r. 1894 pojawił się pierwszy mój artykuł na łamach „Prawdy” Al. Świętochowskiego. Jednocześnie wstąpiłem do Koła Oświatowców, prowadzących Czytelnie Bezpłatne. (Zgadzało się to z tradycjami domu naszego; Ojciec, zawsze wierny dążeniom „czerwonych” z okresu powstania, pilnował, by żadna służąca nie odchodziła od nas jako analfabeta. My, dzieci, mieliśmy obowiązek nauczyć każdą czytaną i pisaną). W czytelniach tych nie tylko wydawałem książki, ale też należałem do Komisji Katologowej, zalecającej lub odrzucającej świeżo wychodzące książki. Zaczęto mnie też używać, jako deklamatora w koncertach, urządzanych konspiracyjnie na dochód tajnych organizacji. Do recytacji takich przywykłem od dziecka i nieraz bawilem nimi gości rodziców.

W związku z tym zacząłem, prócz artykułów, pisywać i satyry wierszowane. Pierwszą z nich była „Pieśń dziada spod wystawy higienicznej”, na której najwięcej nagród otrzymały browary i gorzelnie.

Gdy w r. 1900 tygodnik „Głos” przeszedł z rąk endecji na własność Jana Wład. Dawida (sympatyka S.D.K.P. i L.), Stanisław Piętkowski, kolega z więzienia (a później mój antagonistą) postawił się o umieszczenie w tym piśmie pierwszej mojej bajki: „Gęś i orłak”, którą napisałem, otrzymawszy „kosza” od późniejszej mojej

żony. Bajka zrobiła furorę. Jednak dalej, niepewny siebie, dwie następne bajki wrzuciłem do puszek „Tyg. Ilustrowanego”. Zanieść ich obojętnie nie chciałem, bo redaktor, Ignacy Matuszewski, przyjeździł się z moim nieboszcykiem ojcem, więc bałem się, że albo umieści je z grzecznością, albo odrzuci z zakłopotaniem. Utworów tych nie podpisałem. Ku wielkiej mojej, a niespodziewanej radości — obie poszły. Odtąd jałem bajki pisać różnym pióram, przeważnie lewicowym, a zachęcony przez Dawida, pisywałem dla „Głosu” krótkie felietony, umieszczane w rubryce: „Na mównicy”. W miarę wrastania w prasę, coraz obrzydliwszą stawała się dla mnie praca biurowa.

Pewnego dnia telefon: Pan Hertz jest proszony do dyrektora Banku Dyskontowego.

Przyjął mnie pan dyrektor w lukusowym gabinecie i oświadczył, że Bank Międzynarodowy w Moskwie proponuje mi posadę na czelnika wydziału towarowego z pensją 4.000 rb. rocznie i tantiem, mogąca sięgnąć 6.000.

— Przyjmujesz pan? Bo muszę zatelegrafować.

Stałem niezdecydowany, jakbym w ledwo dostał. Nie wiedziałem, o odpowiedzieć. Wreszcie wykrztusiłem:

— Jutro panu dyrektorowi odpowiem.

Przez kilka godzin lazałem po Warszawie bez celu, pogrążony w medytacji. Rodzina przestała już mnie tak bardzo potrzebować. Dwie starsze siostry już wyszły za mąż, brat skończył szkołę dramatyczną i miał niezłe engagement. Dwie młodsze siostry też zarobkowały... Matka miała na utrzymaniu tylko najmłodszego synka-pogrobowca... Czas mi już zerwać z nienawistną pracą biurową i urzędniczką żywioną przez 10 lat marzenie o uzupełnieniu swego wykształcenia. Dużo wtedy pisano o powstaniu w Paryżu Ecole Libre des Sciences Politiques. Właśnie ukończył ją St. Grabski... Tam by mi pojechać.

Bo co będę miał z przyjęcia propozycji?

Coś idea to ten złoty łańcuch, blyszczący na opasym brzuchu mego kusiela.

Nie czekając jutra, zatelefono-

walem: nie.

Tego samego dnia złożyłem podanie o paszport zagraniczny.

Muszę tu dodać, że choć żyłem po kawalersku, od roku byłem żonaty; bo gdy w r. 1899 moje „bóstwo” przybyło na wakacje z Genewy, oświadczyłem się mu po raz czwarty czy piąty. Usłyszałem odpowiedź:

— No, dobrze, dobrze, niech pan już nie nudzi.

I dnia 17 sierpnia, tuż przed jej wyjazdem do Szwajcarii (tym razem do Zurychu) wzięliśmy ślub. Uczęta weselna markowała porcja zsiadłego mleka w ogródku Saskim, a wieczorem moja małżonka siedziała już w wagonie.

Mając uciulane w ciągu blisko 11 lat pracy 1000 rb. wybrałem się do Paryża. Po drodze wstąpiłem do Zurychu. Ale jak wstąpiłem, takem tu utknął. Widząc, że nie łatwo będzie mi stąd się wyrwać, aby nie tracić czasu, zapisałem się, jako wolny słuchacz, (po zdaniu t.zw. „Inteligenzprüfung”) na szereg wykładów. Słuuchałem więc prof. Herknera (ek. pol.), Kuno von Knonau (hist. średniowieczna), Euteropulosa (fil. grecka) i inn.

Ten mój pierwszy pobyt w Zurychu zakończyłem wycieczką do Włoch. W Rzymie napisałem bajkę „Nowe Colosseum”. W ogóle bajek pisałem wtedy dużo. Drukował je warszawski „Głos”, „Naprzód”, „Krytyka” Feldmana. Posyłałem też tym piśmami rozmaite artykuły, felietony, korespondencje...

Po skończonym semestrze żona postanowiła przenieść się do Krakowa, by posłuchać Kostaneckiego (znakomitość w dziedzinie anatomii). Musiałem więc i ja Zurych opuścić.

W Paryżu zapisałem się do wspomnianej wyżej Szkoły Nauk Politycznych. Prócz wykładów w E. d. Sc. Pol. słuuchałem poszczególnych prelekcji w Sorbonie i Collège de France (Tardea, Espinaza, Brocharda...) a poza tym przystąpiłem do pisania sztuki dramatycznej p.t. „Dr Zygmunt Łomski”. Po jej ukończeniu, posłałem na świeżo ogłoszony konkurs Tow. Artystycznego w Warszawie. Z końcem roku szkolnego, dla odkarmienia się (bo dość głodno żyłem w Paryżu) wróciłem na wakacje do kraju, licząc na łatwiejszy zarobek. W Krakowie spotkała mnie miła niespodzianka: wiadomość o zdobyciu nagrody konkursowej. Uważałem to jednak za jakąś pomyłkę i tak byłem pewny niepowodzenia sztuki, że na premierze nie pojechałem. Recenzje przecie nie potwierdziły moich przeczuć. Były doskonałe. Po drugim akcie miłe wywoływało. Sztuka obiegła kilka miast (ja widziałem ją dopiero znacznie później na jednej ze scen prowincjonalnych). W gruncie rzeczy jednak miałem rację — sztuka musiała być słaba, bo — wbrew przepowiedniom „znawców” — rychło poszła w zapomnienie. Jej sensacyjność polegała na tym, że tu po raz pierwszy w dramaturgii polskiej poja-

wił się na scenie robotnik fabryczny i jego położenie (ówczesne) w walce z kapitałem. W każdym razie fakt owego zwycięstwa ułatwił mi w Krakowie pobyt. Feldman zaprosił mnie na zebranie towarzyskie, a obecny na nim Dawyński ofiarował mi miejsce w redakcji „Naprzodu”. Dzięki temu — jak planowałem — mogłem poprawić swoje finanse i „odkarmić” się trochę.

Czas mi było jednak wrócić do Paryża i opuścić redakcję „Naprzód”. Ale ukończyć studiów w Paryżu mnie nie dano. W początku roku 1905 Dawid wezwał mnie telefonicznie do Warszawy. Zająłem w „Głosie” stanowisko sekretarza redakcji. Tym samym wszedłem w wir walki rewolucyjnej. Ówczesny rocznik tygodnika, z licznymi moimi artykułami i artykułkami, daje pełny obraz naszego udziału w tej akcji. Filarami pisma byli: sam Dawid, A. Warski, St. Brzozowski, J. Korczak, Avanti (Glass, obrońca Kasprzaka), K. Krauz, młody, początkujący R. Radwański, „czerwony ziemianin” A. Węgliński, no i ja wreszcie.

Aż do listopada, licząc się z warunkami, nie ujawnialiśmy swego sztanbaru partyjnego. Ale Nr 44 z dnia 6.XI. wydałszy już pod umieszczonym w nagłówku hasłem: „Proletariusz wszystkich krajów łączycie się!”

Wesele to trwało niedługo. Podpisujących się pełnym imieniem i nazwiskami zaczęła policja wyłapywać. Zjawiała się i po mnie. Na szczęście, nie zastała w domu. Dla pewności nocowałem „po ludziach” (tej nocy u dr. Wł. Sterlinga). Trzeba było wiać. Niebawem znalazłem się w Krakowie, dokąd wkrótce przybył również Avanti, a potem i sam Dawid. Daszyński wybaczył mi opuszczenie go w r. 1904 i dał znów miejsce w „Naprzód”. Pracowałem tu do październik r. 1906. Ale z wyznaczonych mi 60 koron miesięcznie wyżyć nie mogłem. Tymczasem w Wilnie odrodził się zwinieży przed 40 laty „Kurier Litewski”, a redaktor Czesław Jankowski poszukiwał kogoś, mogącego — pod względem językowym, adiuwować artykuły, bo, jak się wyrażał, miejscowi współpracownicy piszą „czort znając” po jakimś W. W związku z tym dnia 16.X.1906 znalazłem się w Wilnie.

„Kurier Litewski”, choć wydawany przez biskupa Roppa, był organem liberalnym. Ale w r. 1911 połączył się z endekim „Dziennikiem Wileńskim”. Opuściłem go więc wraz z Ludwikiem Abramowiczem, który założył, przy pomocy grona działaczy postępowych (z Tad. Wróblewskim na czele) wolnonomijny tygodnik — „Przedział Wileński”. Stałem się jego głównym współpracownikiem, a następnym redaktorem naczelnym. Walczyliśmy tu z nacjonalizmem polskim w obronie praw Litwinów i Białorusinów.

Z chwilą zajęcia Wilna w r. 1915 przez Niemców tygodnik nasz został zamknięty. Zostałem bez pracy. Zonę, jako lekarzkę miejską, okupant zmusił do służby w szpitalu wojskowym. Nie było rady: musiałem opuścić Wilno.

„Ale jak?... Koleje stały. Tunel pod Łódźwarowem był zasypany...”

Dowiedziawszy się, że niejaka p. Kowalska, której Niemcy pozostawili 3 konie (z 60), szuka furmana, by przedrzeć się do Warszawy, ofiarowałem jej swoje usługi. Okazało się, że takich kandydatów jest więcej. I ostatecznie właścicielka wehikułu, w towarzystwie 3-ch mężczyzn i dwu synków, ruszyła w drogę. Podróż nasza, pełna przygód i dantejskich wrażeń, ciągnęła się od 25 września do 8 listopada r. 1915.

W przeciwnieństwie do stosunków, panujących w czasie II wojny światowej, zastałem Warszawę kipiącą życiem umysłowym. Niemcy, kolektujący nas jako swoich sprzymierzeńców przeciw caratowi, dali folę prasie, literaturze, teatrowi — aktorów, wydawcy nie załawali zaliczek. Nie miałem więc i ja kłopotu z szukaniem zarobku. Rozpocząłem występy w t.zw. „kabarach”, jako recytator własnych bajek. Stefania Sempołowska (dobrze mi znana z czasów Czytelnie Bezpłatnych) namówiła mnie do pisania dla dzieci w jej tygodniku: „W słońcu” (wykorzystała przy tym moją tęsknotę za pozostawioną w Wilnie córeczką moją — Magdusią); księgarnia K. Wende i S-ka, oraz J. Mortkowicza poszły za jej przykładem i jęły zasypywać mnie zamówieniami, „Kurier Po-ranny” ogłosił w kilku ciągach opis mej jazdy z Wilna do Warszawy, drukowały moje felietony „Myśl Narodowa” Mortkowicza, „Widnokręgi” Rzymowskiego itd.

Podczas gdy dotąd wydałem za ledwie 3 książki („Bajki” 1903, „Szkice dramatyczne” 1910, „Bajki i satyry” 1911), teraz sygnęło się ich znacznie więcej, zwłaszcza dla dzieci i młodzieży.

W roku 1917 wstąpiłem do redakcji dziennika „Głos” (pod nazw. red. Feliksa Młynarskiego) w roku następnym zostałem sekretarzem redakcji. Z chwilą zakończenia I wojny światowej, na życzenie Fe-

liksa Perla, zostałem felietonistą „Robotnika”, gdzie drukowałem satyry na stosunki, sprawujące zawód marzycielom, którzy w czasach niewoli wyobrażali sobie Polskę Niepodległą w szatach Chrystusa Narodów. Satyry te (a raczej ich b. skromny wybór) mają się wkrótce pojawić nakł. „Czytelnika”.

T zw. „przewrót majowy” (raczej jego następstwa) podminował moją wiarę w Piłsudskiego, którego dotąd uważałem za spadkobiercę Traugotta. Pojawienie się Mussoliniego, Hitlera, wojna domowa w Hiszpanii, „nieinterwencja” Bluma, szalejące ONR-y — wszystko to dodało gazu moim skłonnościom satyrycznym. Jajem więc zasypywałem „Robotnika”, „Czarno na Białym”, „Dziennik Popularny” i in. wydawnictwa odpowiednimi utworami.

Nieostrożnością było więc z mojej strony, że nie tylko kraju, ale nawet domu własnego nie opuścił, gdy hitlerowska zgraja wdarła się do Warszawy. Mogłem to uczynić, ale tylko sam, bez żony. Nie chciałem jej jednak pozostawić, bo jest to osoba, zupełnie nie umiejąca wykręcać się i kłamać, podczas gdy ja mam w tym kierunku wyraźne zdolności.

Pozostałem więc w domu naszym w Podkowie Leśnej. Domek ten stał się jedynym naszym środkiem utrzymania. Odnajaliśmy 3 izby, jedną zajęła żona, a ja ulokowałem się w komórkę, wprawdzie bardzo ciasnej, ale dającej możliwość spokojnej pracy. A tej potrzebowałem. Widziałem w niej jedyną możliwość nie myślenia o groźnym mi niebezpieczeństwie, bo niczego się tak nie lękałem, jak — strachu. Pracę zaś znalazłem sobie znakomitą.

Oto, idąc placem Narutowicza, usłyszałem rozmowę dwu „inteligentów”. Szło o wskazanie, gdzie jest ulica Kadłubka. Po otrzymaniu tej informacji, odezwał się pytający: „Też wymyślił nazwę?... Kadłubka?... Co znaczy kadłubka?... Kadłub, rozumiem, ale kadłubka... Co to takiego?” Wówczas pomyślałem: jeżeli przy istnieniu szkół polskich ludzie nie wiedzą kto to był Kadłubek, to co będzie po gospodarce Hitlera?... I postanowiłem opracować popularną, „kieszonkową” encyklopedijkę literatury polskiej.

Ta robota właśnie pochłonęła mnie na cały czas okupacji. Ona i z dała mi spokój nerwowy i do-czekałem w tym spokoju czerwca roku 1941. Alisic jeden z sąsiadów, niejaki Samowicz, (słusznie, czy niesłusznie) o kombinowanie z Niemcami pomawiany, ostrzegł mnie, że czas „wiał”. Gestapo miało go wypytywać o mnie: co i gdzie pisałem. Nie było rady. Ucharakteryzowałem się na ubogiego czelęzynie i wywędrowałem do Warszawy. Znalazłem przytułek najpierw u p. Wandy Tatarkiewicz z Polskiego Radia, potem Henryka Ładosza na Żoliborzu. Następnie w tym samym domu u Jana Mulaka. Wędrowki to były tym niewygodne, że wszędzie musiałem taszczyć dość niewielką, ale ciężką biblioteczkę, niezbędną do kontynuowania pracy nad rozpoczętą encyklopedijką. Na Żoliborzu sąsiadowałem m. in. z Próżnikiem. Ten mnie namówił do współpracownictwa w prasie podziemnej. Robiłem to, ale o tyle tylko, o ile chciałem wytnąć od mojej głównej pracy. Przebywanie na Żoliborzu okazało się jednak niebezpieczne: za dużo tu osób mnie poznało, mimo poszarpanego ubrania, zniszczonej czapki maciejówki i sumiastych wąsów, a wreszcie dowodów osobistych mego nieboszczyka szwagra, Kazimierza Gorskigo. Trzeba więc było wynieść się z Żoliborza. Schronienie znalazłem wówczas w Stoczku, u Faustyna Ładosza (brata Henryka). Ten jednak trzymał mnie mógł kilka miesięcy... na moje szczęście, bo wkrótce potem Niemcy przy-czepili się do niego samego i jego szwagra, poety Szymańskiego, który z lap ich żywy nie wyszedł. Wróciwszy do Warszawy zamieszkałem na Powiślu. Tu, na Powiślu, nie poznawany przez nikogo, do-czekałem się powstania. Ale gdy Niemcy, go zdołoby do domu ks. Siemka, zaczęli ostrzeliwać nasze mieszkanie i zabili spółlokatorkę, Annę Kowalczyk, musiałem schronienie nasze opuścić w nocy z 15 na 16 września r. 1944.

Z wielkim trudem dośladzimy do ul. Zielnej, gdzie była jedna z pozycji powstańców. Z radością powitano tu żonę moją, jako lekarzkę, (która, zresztą, od dawna ofiarowała powstańcom swe usługi — bez skutku). Teraz zaprzęgnięto ją do oratrywania rannych. Niebawem jednak sama została raniona i kontuzjowana, po czym oddała zajęłą inną pozycję, a żonę moją przeniesiono do szpitala, aż na ul. Lwowską. Ja powędrowałem sam, nie wiedząc, gdzie się podziąć. Noc była upiorna, dokoła pożary, na chodnikach trupy, co chwila trzeba było schodzić w korytarze podziemne, mając za toczono-nie piwnice... Nad ranem znalazłem schronienie na ul. Żurawiej u p. dr. Kasperowiczowej, a po kilku dniach sprowadziłem tu i żonę.

(Dokończenie na str. 7-ej)

STANISŁAWA SZNAPER-ZAKRZEWSKA

LUDWIKA WOŹNICKA

Od strony szpitala

Prawo

Problem alkoholizmu, który na łamach „Nowej Kultury” poruszyła ostatnio Danuta Zabłocka-Skupińska, ukazał mi się w całej groźbie i potworności pięć lat temu, gdy — zainteresowana pracą męża lekarza — wiedziałam po raz pierwszy szpital psychiatryczny.

Zobaczyłam tam chorych psychicznie alkoholików. Jedni, ogtupiali, nie wiedzieli gdzie się znajdują, nie umieli dodać dwóch liczb, ani odpowiedzieć na pytanie, czy jest lato czy zima, inni, nekami halucynacjami straszliwego delirium trenens, w śmiertelnej twórczości walczący z widziadłami.

Zobaczyłam tam tragedię ludzi, którzy zdradzili społeczeństwo i nie umieją do niego wrócić. Marni, z poczuciem swej marności, lub też kompensacyjną pychą, nienasyconą i urażoną, szaleją ze zwierzającą zazdrością o swe żony (jedno z typowych urojeń alkoholowych), upatrują wszędzie zaczepność i pogardę otoczenia, są też z nim stale w konflikcie. Widziałam ich dygotające ręce, przydające im jeszcze niepokoją, widziałam końskie stopy spowodowane przez zaniki mięśni — kalektwo, którym obdarzyła je wódka.

Zobaczyłam tam człowieka, który podczas delirium wbił sobie w oczy dwa gwoździe, człowieka, który z powodu demencji podpalił swój dom. Widziałam zwłoki człowieka, który zasnął na zawsze, zapominając przytknąć zapalniczkę do otwartego przed chwilą gazu, człowieka, który wyskoczył z okna, człowieka, który przebił się nożem, spotkałam na koniec i takiego, który porąbał czworo rodzonych dzieci.

Od tam widzę wszędzie dokoła siebie tych potępieńców, biących jeszcze wśród społeczeństwa. Ich czarna godzina zbliża się nieuchronnie.

Widzę, jak upadają pod bieżącym potwornym nalożem, jak się męczą, zgorzkniał, choiży, zatruci, jak tracą żony i przyjaciół, którzy po latach pierwszemu muszą kapitulować i chronić się ucieczką.

Widzę ich co dzień, jak okrwawieni zaspiają po bokach w czarnym błocie ulicy, lub otepieli, bezduszni pozostają w brudnych barożach bez przyszości i kromki chleba, czepiając się jedynie mydła o pozabawieniu się życia.

Widzę także ich żony, matki i dzieci. Są bledne, głodne, chore od biela i leku. Płaczą, zębrzą i zaklinają. Lecz, żadna miłość, żadne słowo, żadne błaganie nie są w stanie przebudzić tych urzeczonych, którym nie pozostaje wreszcie z życia nic prócz karmy i klęski.

Za to poganięnie ich zawsze chuligan, stawiający butelkę, przekona złośliwej i zbrocenię, który wódką płaci za „towarzystwo”. W ten sposób mnożą się ich szeregi.

Dziś szpital psychiatryczny i podobnie przeciwalkoholowe podejmują ciężką i bohaterską walkę o leczenie i rehabilitację tych odpadków ludzkich, przeznaczonych w przeciwnym razie na śmierć lub najędźniejszą wegetację. Uspokojony lekarz dzisiejszych czasów, socjalistyczny lekarz człowieka, nie tylko goi zdesztawiany organizm alkoholika, lecz poprzez ciężką, długą psychoterapię wprowadza go na drogę prawidłowego myślenia, gdzie rekonesansuje pozostaje z możliwością wyboru pomiędzy życiem społecznym a natogiem.

W końcu 1950 roku Partia wydała uchwałę o zwalczaniu alkoholizmu, na skutek której do współpracy z lekarzem przyłączyło się całe społeczeństwo. Tak więc celem zapobiegania alkoholizmowi stanęły do walki organizacje młodzieżowe, związkowe, zawodowe, naukowe i cała uświadomiona masa narodu.

W tym samym czasie tzn. w końcu 1950 roku przystąpiłam do pracy nad powieścią o leczeniu psycho alkoholowej pt. „Dr Wiktor dyżuruje”. Mam nadzieję, że załączony jej fragment stanowił może przyczynek do dyskusji na temat poruszonej w artykule Zabłockiej-Skupińskiej.

Oddech... oddech... jęszcze... jęszcze...

Doktor przenosił metalowy krząk słuchawki, cała za całem ustawiając go na klatce piersiowej chorego. Czarna gumowa rurka chybała się chwilę, potem nieruchomiła i widać było, jak doktor Wiktor koncentruje całą swoją uwagę na aparacie. Był teraz jakby narzędziem swego fonendoskopu — cała zamieniony w słuch odbierał w napięciu dźwięki, które słuchawka przesyłała jego uszom.

— Dum, dum dum — uderzało rytmicznie serce. Płuco rozwierało się i zamykało jak wielki miech. Wszystkie te, wyolbrzymione przez akustyczną aparaturę słuchawki dźwięki mówiły coś doktorowi i widać było, jak nateżona myśl śledzi i komentuje ten chór organów, niedoświadczony dla chorego.

Oddechając głęboko z otwartymi ustami, Karol obserwował spod oka pracę lekarza. Spod nachylniej rzesy przypatrywał się zimnej, surowej twarzy kontemplującej kompleks dźwięków z takim zapamiętaniem, jakby oprócz niego i wymowy organów nie było więcej nic na ziemi. Karol palcami obu rąk przytrzymywał koszulę wysoko pod brodą. Trwał w swojej pełnej nieruchomości, bojąc się spowodować jakikolwiek szmer, który mógłby się wzmieszać do rozmowy doktora z jego płucami.

Twarz lekarza teżała w nastuchiwaniu. Pochylony nad chorym trwał bez ruchu w swojej postawie odbiornika i nawet oko, ułtkowane wprost przed siebie, było puste, tak bardzo w tej chwili wszystkie jego zmysły zostały wyłączone na korzyść słuchu.

Wreszcie wyprostował się, wyjął z uszu rurki słuchawek i zawiesił je sobie na szyi.

— Może się pan ubrać — powiedział.

Usiadł za biurkiem, wyjął kartę Karola i coś skrętnie notował.

Karol wpuścił koszulę w barchanowe spodnie włożył szlafrok, zawiazał dokładnie granatowy pasek i stał na wprost doktora, czukając. Po dłuższej chwili nie odrywając oczu od karty doktor rzucił:

— Niech pan siada!

Chory powoli usadowił się na krześle i znowu pozostał nieruchomy. Doktor nie odrywając pióra od powierzchni papieru, zarzucił kartę drobnouktem maczkiem. Karol przyglądał mu się z coraz większym zaciekawieniem. Dłoń miał małą i silną. Była jak łapa lwa.

Karol westchnął głęboko.

— No co? — powiedział nagle doktor.

— No co? Czego pan wdycha?

— Nie, nic — zawstydił się Karol.

— No, a dlaczego pan tak westchnął?

— Czy ja wiem? — szepnął Karol z uśmiechem.

Teraz jednak zauważył, że dokonował właśnie jakiegoś zestawienia. Patrzył on na doktora trochę z zazdrością. Nie żeby mu źle życzył, ale tak ot, po prostu myślał sobie — taki to ma po co żyć! Ma wiedzę, ma pozycję społeczną, patrzy, jak o jego ręką wyłącza się kategorię, kiedy wydaje się polecenia.

*) Fragment powieści „Dr Wiktor dyżuruje”, która w najbliższych dniach ukaze się nakładem „Czytelnika”.

mego zaufania, nie zrobił mi pan wstydu?

— E, proszę pana. A gdzie?

— No, ja nie wiem. Widzi pan, zanim pan tu przyszedł, potrafił pan ukraść z domu palto swojej córki, aby mieć pieniądze na wódkę. Pan rozumie, że ja mam zastrzeżenia.

— Przecież pan wie, że to było z choroby — oburzył się Karol. — Człowiek jak się tym alkoholem struje, to sam nie wie, co robi. Panie doktorze, tak nie trzeba, niech pan mnie podług tego nie sądzi.

Doktor zamilkł na chwilę. Zasłonił twarzą obiema dłońmi i tak pozostał. Mogłoby się zdawać, że nagle ogarnęła go sennność, ziewał może za osłoną swych dion?

Ale to było co innego. Zasłonił twarz tylko po to, aby nie była widziana.

Oto nareszcie po pięciu miesiącach znużonej i rozpaczliwej walki, po pięciu miesiącach nieustannej, napiętej pracy, nawiedzanej wątpliwościami, po otruciu Karola kuracją insulinową, po wyzeraniu wszelkich metod, po czwasty od perswazji aż do rygorów i wrzasków, chory przemawia wreszcie ludzkim głosem. Staje oto przed swym lekarzem obmyty z meki obłąkania, wielkim trudem uczulowiczony Karol Pień, na nowo narodzony obywatel zdolny do podjęcia samodzielnego życia.

Ale doktor siedział z zasłoniętą twarzą i myślał — jeszcze za wcześnie! Uwaga! Bez egzaltacji!

Teraz musi nastąpić pewien okres utrwalania się nowej osobowości Karola, o ile ta, którą tutaj demonstrował, jest w ogóle prawdziwa. Bo i to musi być liczone. Alkoholicy są przebiegli. Gdy powracają do równowagi, potrafią symulować postawy, odpowiadające wymaganiom lekarza, aby uzyskać zaufanie, umknąć na wolność i pić dalej.

Doktor Wiktor odsłonił twarz i zapytał nagle rzeczowo:

— Mogę liczyć na pana?

— Ja myślę.

— Słowo?

— Słowo — wyrzekł po dłuższej chwili.

Doktor Wiktor powstał i uściśnął mu rękę.

Teraz otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz.

— Gdzie tam jest pan Modraczek? — zawołał.

— Idę — odpowiedział pielęgniarz, zbliżając się do Karola.

— Proszę odprowadzić pana Pień do kierownika warsztatu elektrotechnicznego, niech go od jutra zatrudni na pawilonie.

Stanisława Sznaper-Zakrzewska

Sprawa namiętności

W przeglądzie prasy ostatniego numeru „Tygodnika Powszechnego” J.M.S. zajął się drukowanym w „Nowej Kulturze” artykułem Danuty Zabłockiej-Skupińskiej „Jesteśmy winni tolerancji”, artykułem poświęconym problemowi alkoholizmu. Autor tej rubryki troskliwie przygląda się pracy „komercyjnego” pienskiego obszerne wyjątki obrazują „straszliwe następstwa tego nogo”. Jeśli więc idzie o symptomatyczny alkoholizm, J.M.S. chyli czoła przed wiedzą Danuty Zabłockiej-Skupińskiej. Natomiast nie może pogodzić się z nią w ocenie przyczyn tej choroby społecznej. „Nie zgadzam się co prawda — pisze J.M.S. — z punktem wyjścia rozumowania autorki, która upraszcza ogromnie zagadnienie, ujmując alkoholizm jako przeżytek kapitalizmu w świadomości i postępowaniu pewnych ludzi. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że niezależnie od tego niezaprzeczonego faktu, jaki stanowi rozszerzenie się alkoholizmu na skutek propagandy komercyjnej ze względu na komercyjny, pijanstwo opanowuje ludzi samorzutnie, jako namiętność, nawet tych, którzy się nim posługują jako swoim narzędziem. Jak każda namiętność tak i alkoholizm jest w stanie zaszkodzić człowiekowi wbrew jego najżywoźniejszemu interesom.”

J.M.S. wyrzyna więc alkoholizm z tła społecznego, przydaje mu jakiegoś „pozaświatowego” wymiaru z pomocą tajemniczego terminu: namiętność. Ma to chyba świadczyć o tym, że alkoholizm, jak ów grzech pierworodny, jest dany z nieba i podpada zatem kompetencji kościoła. Ogólnie jednak wiadomo, że dotychczasowe formy leczenia alkoholizmu przy pomocy kazań i nauk moralnych, szczerze rozrzucających z ambony, dały znikomym rezultatem.

Zastanawiające jest też, że np. Indianie nie podlegali owej ponadczasowej namiętności do XV wieku. Dopiero kiedy kolonizatorzy uzbrojeni w strzelby i butelki z „wodą ognistą” wargnęli do Ameryki, wśród Indian rozpanoszył się alkoholizm. Tę „namiętność” wsczeszono w Indian przy dość beczereimonialnym użyciu sily.

J.M.S. przyznał mimochodem, że istnieje też możliwość rozszerzenia się alkoholizmu „na skutek propagandy komercyjnej”. Ze mby ten nieszczęśliwy fabrykant, dbając o sytość żony i dzieci, musi reklamować produkowaną przez siebie wódkę, co J.M.S. rozumie, lecz potępia.

Znałem jednakże pewnego właściciela tartaku, który zwykł był mówić: „Jeśli robotnik ma bawić się polityką, to już niech lepiej wypije ćwiartkę wódki...” Okupanci także nie dla celów „komercyjnych” propagowali i realizowali w Polsce alkoholizm.

Dla paroparcia „namiętnościowej” tezy J.M.S. przytacza fakt podlegania alkoholizmowi ludzi, „którzy się nim posługują jako swoim narzędziem”. Gdyby wszakże sięgnąć do statystyk, to okazałoby się, że klasy te nie folgują zbytnio alkoholowej namiętności. Nie tak trudno było spotkać szynkara należącego do „Towarzystwa Trzeźwości”, czy fabrykanta popijającego mleczko. W zapobiegłości robienia majątku — starali się oni unikać nalogów. A jeśli już któryś popadał w ową namiętność, to nie miała ona cech klęski społecznej. Kupiec czy fabrykant wyjeżdżał parę razy w roku do wód, gdzie skrupulatnie leczył strudzone nerki.

W ogóle ta „namiętnościowa” teza jest bardzo smutna, pesymistyczna. A jeśli jest to namiętność tego typu, co np. namiętność miłosna, to już zupełnie ciężka sprawa. Bo przecież miłość nie wykarcezwano w ciągu tylu wieków, chociaż wielu świątych mężów kościoła poświęciło temu trudowi wszystkie swe sily.

Spoleczna motywacja przyczyn alkoholizmu zawiera w sobie więcej optymizmu. Bo jeśli stale będziemy podnosić stopę życiową ludności, jeśli już w następnej pięciolateczce zapewnimy młodzieży średnie wykształcenie, jeśli likwidujemy problem gnuśnej, zacofanej prowincji, jeśli z pracą oświatową i kulturalną dotrzemy do najdalejleżącego zakątka, to wreszcie alkohol zostanie zaliczony do „płynów pobudzających apetyt”.

„Tygodnik Powszechny” wetnął do dyskusji o alkoholizmie swoje trzy grosze. Okazuje się jednak, że w monetach mocno fałszywych.

J.M.S. przyznał mimochodem, że istnieje też możliwość rozszerzenia

Krasnowskiej rada sąsiadki, żeby jednak spróbować szczęścia, zapadał w serce.

Nazajutrz o piątej po południu, kiedy męża nie było w domu, zaczęła się „ogarniać” do drogi. Garnek z ziemniakami zostawiła na blasze: jak przyjdą, to sobie wezmą. Nie ma nic innego. To zresztą żadne gotowanie, do tego gospodyni niepotrzebna Szafy nie było ani żadnych mebli, oprócz okrągłego stołu z krzywo wsadzoną nogą, ubrania wisiały na wieszaku, na drzwiach. Tam się mieściły wszystkie Krasnowska zdjęła z wieszaka swój, jak to nazywała „żakiet”.

Naprawdę nie był to żakiet, lecz własnorośnie skrojone workowate wdzianko, które miało te zalety, że było kraciaste. Krasnowska wierzyła, że na tle tych krat nie odróżni się cer i latek. Cery były zresztą artystyczne. Włożyła ten odświętny żakiet, a potem chustkę, niegdys niebieską, również artystycznie pocerowaną krzyżkami. Tak ją nawet specjalnie włożyła, żeby cer zupełnie nie było widać, przejrzała się nawet w lusterko, wyjętym z czarnej torebki: chciała wyglądać porządnie, nie na jakąś łachmiankę. Przecież idzie między ludzi! Jeżeli będzie wyglądać, jak się należy, to zaraz inaczej potraktują i przedzej załatwią.

Szkoda tylko, że nie ma innych butów, tylko te podarte, z wystającym palcem. Ale ncwych nawet kupić nie można, choćby było za co — w zeszłym roku dostała premię i kupiła czeskie buty Wackowi — to mu on po prostu kazał zdjąć z nóg i przepił.

Kartka z adresem poradni już od dawna, od pierwszych opowieści o Golebskim, cudownie wyleczonym pijaku, leży w torebce, za podszewką. Jeszcze raz sprawdziła, że jest, na miejscu — i w drogę!

Przed samymi drzwiami poradni zawałała się:

— O Jezuu, gdyby on wiedział gdzie jestem, to pewnie by mnie zabił! — mimo to weszła. Chciała od razu do lekarza, ale ją zatrzymali:

— Hala, czy pani na dziś naznaczona? Co się pani pcha przed kolegą? Inni czekają dłużej!.. Do poczekalni!

Teraz dopiero zwróciła uwagę, że w długim korytarzu, który już prawie przebiegła, pełno jest ludzi. Pełno ich było również w poczekalni, w której zajęła miejsce. Siedzą na ławkach pod ścianami, niektórzy palą, niektórzy milczą, wtulając głowę w ramiona, a jeden tylko gruby człowiek, o twarzy obromiałej, czerwonej i wesołej, głośno peroruje:

— Ten kolejarz, co teraz wyszedł z gabinetu, to mnie pytał, czy to trzeba wziąć jeden zastrzyk, czy więcej, żeby się już na amen wyleczyć. Jakem mu po-

wiedział co i jak, że z początku trzeba często przychodzić i że już dla wódki stracony, ani kropli nie wolno brać do gęby, to się tak przestraszył, że się tu z ławki porwał i chciał dać nogę. Ale go za frak przytrzymał i powiadam: „Dobrze się pan dorobił na wódcę? Podobna się panu? Szczęśliwie pan ma życie? To niech pan idzie!” Pokreślił głową, postął, potem usiadł i do dziś dnia się leczy. Dziękował mi — umilkł.

Spojrzał dokoła po sali, w której opowiadanie jego wywołało aplauz. Murarz w pobrudzonym wapnem kombinezonie, widać, że wprost z roboty, potakiwał głową:

— Tak, szczęśliwy! — rzekł — Ja, jakim pił, tom takiego szczęścia dostąpił, że w teccze — w tej teccze, o! — potrzęsnał na dowód prawdziwości swoich słów niegdys brązową tecczką z naderwanym uchmem — nosilem co? Chleb i cebulę. A teraz noszę co? Każdemu mogę pokazać: chleb z masłem i kiełbasą! Do ciebie to mówię, młody — zwrócił się do kandydki, która do wyrostka z bezczelną miną, który w kacie bawił się swoją czapką w ten sposób, że coraz bardziej wyginał jej i tak pogięte, denko. — Do ciebie mówię, młody, żebyś zapamiętał i żebyś brał przykład!

Krasnowska zrozumiała, że „młody” powinien brać przykład nie z tego, że jego mentor pił, tylko z tego, że przestał pić. Ale chłopak nie zdawał się o tym przekorany; z resztką pijackiej chełpliwości zapewnił się, chociaż ma lat dopiero dziesięć, więcej już w życiu przepuścił na wódkę, niż niejedną starą w ogóle widział. Piótra litra na dzień, to dla niego było nie!

Mężczyzna o słonecznej twarzy i miódowym głosie, ten, który na początku zachwalał trzeźwość, oburzył się na te słowa. Nazwał młodemu szczeniakiem:

— Piótra litra, szczeniaku? Ja denatur piłem, rozumiesz, szczeniaku? Rozumiesz? Denatur — szklankami!.. — potoczył po obecnych szklankami, strasznymi oczami — a potem ręce — tak — i pokazał, jak mu się trzęsły. — Na nogach nie mogłem ustać a w nocy... — dokończył cichym, przejmującym głosem: — Widziałem przy sobie co z r n e g o, rozumiesz? Widziałem trątkę postać. Siedziała na oknie, kiedy spałem i wpatrywała się we mnie... to znowu przesuwała rękami o tak, po głowie. Chciałem go złapać za gardło, udusić — i złapałem siebie samego!.. Ani pracować, ani nie — kończył już normalnie — ale zamknął pić w złych czasach i wielkiej zgrzyoty A ty! — zamilkł i milczeli wszyscy Krasnowskiej było straszno, ale zarazem obudzona nadzieja coraz pewniej gospodarowała w jej sercu. Wyglądzała zmarszczyki nikim śladem uśmiechu; ten, który pił niegdys denaturę, szklankami, jak sam opowiadał, i widywał czarną zjawę i nie mógł pracować, wyglądał teraz na porządnego majstra.

Rozeszła się wkoło:

— Wszyscy się leczą! — powtarzała sobie w duchu — nie pij! Wszyscy! Wszyscy! Mój Boże, żeby to jakoś zatłoczyć... może jakiś zakład?

Tak już urosła w niej nadzieja, że zaczęła sobie przypominać jak to o n by dawniej, gdy za niego szła. Nikt się wtedy nie spodziewał, że i a k będzie. Każdy kawaler pije, to nie straszno. Po ślubie przysięgił jej, że wódki nie weźmie do ust, już nigdy, chyba na chrzcinach. Dotrzymywał tego do czasu wojny. A potem... Jak to powiedział ten gruby: „z wielkiego nieszczęścia przyszło to na mnie, że zacząłem pić”. — No tak, z nieszczęścia, upił się przecież na stypie, po pogrzebie. Kasia. Ale potem — już czy radość, czy smutek wszystko obchodził. Jednak Niemcy dawali deputaty — wódkę znaleźli się kompani do picia. Pierwszy raz, kiedy się upił, przetrząsał i przysięgał, że to ostatni raz, a ona przebaczyła i wierzyła. Potem przebaczyła, chociaż nie wierzyła. Potem przestał przepraszać — był po pijanemu.

Przypomniała sobie znowu Jądkę, jak to Jądzka, mając szesnaście lat poszła z domu z tym panem Kłabusikiem, właścicielem sklepu, na dole. Ze też ten Kłabusik się nie wstydił, że Boga w sercu nie miał! To on był stary dziad, żonaty i miał swoje dzieci... A Jądzka poszła z domu przez ojca, tylko przez ojca, przecież to wyraźnie powiedział! Wtedy kiedy po raz ostatni matka widziała ją na schodach.

Przypomniała sobie to spotkanie, jakby to było wczoraj, niesła bieliznę z magla. Szła w górę kręconymi schodami i usłyszała nad sobą kroki. Zatrzymała się, żeby przepuścić a w następnej chwili nogi ugęły się pod nią; z góry zstępowała Jądzka z panem Kłabusikiem. Pan Kłabusik niósł winiowaty kuferek, w którym zwykle leżała wszystka bielizna i ubrania. Na jej widok Jądzka zatrzymała się. Zawołała:

— Mama! — a potem objaśniła, jakby o najwzklejszej rzeczy:

— Mama, ja odchodzę, bo się wyprowadzam, tak, wyprowadzam się. — I dodała: — a mamy rzeczy to myśmy wyjeźli z kufra, tylko bierzemy moje sukienki i palto i koldre.

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

wiedział co i jak, że z początku trzeba często przychodzić i że już dla wódki stracony, ani kropli nie wolno brać do gęby, to się tak przestraszył, że się tu z ławki porwał i chciał dać nogę. Ale go za frak przytrzymał i powiadam: „Dobrze się pan dorobił na wódcę? Podobna się panu? Szczęśliwie pan ma życie? To niech pan idzie!” Pokreślił głową, postął, potem usiadł i do dziś dnia się leczy. Dziękował mi — umilkł.

Spojrzał dokoła po sali, w której opowiadanie jego wywołało aplauz. Murarz w pobrudzonym wapnem kombinezonie, widać, że wprost z roboty, potakiwał głową:

— Tak, szczęśliwy! — rzekł — Ja, jakim pił, tom takiego szczęścia dostąpił, że w teccze — w tej teccze, o! — potrzęsnał na dowód prawdziwości swoich słów niegdys brązową tecczką z naderwanym uchmem — nosilem co? Chleb i cebulę. A teraz noszę co? Każdemu mogę pokazać: chleb z masłem i kiełbasą! Do ciebie to mówię, młody — zwrócił się do kandydki, która do wyrostka z bezczelną miną, który w kacie bawił się swoją czapką w ten sposób, że coraz bardziej wyginał jej i tak pogięte, denko. — Do ciebie mówię, młody, żebyś zapamiętał i żebyś brał przykład!

Krasnowska zrozumiała, że „młody” powinien brać przykład nie z tego, że jego mentor pił, tylko z tego, że przestał pić. Ale chłopak nie zdawał się o tym przekorany; z resztką pijackiej chełpliwości zapewnił się, chociaż ma lat dopiero dziesięć, więcej już w życiu przepuścił na wódkę, niż niejedną starą w ogóle widział. Piótra litra na dzień, to dla niego było nie!

Mężczyzna o słonecznej twarzy i miódowym głosie, ten, który na początku zachwalał trzeźwość, oburzył się na te słowa. Nazwał młodemu szczeniakiem:

— Piótra litra, szczeniaku? Ja denatur piłem, rozumiesz, szczeniaku? Rozumiesz? Denatur — szklankami!.. — potoczył po obecnych szklankami, strasznymi oczami — a potem ręce — tak — i pokazał, jak mu się trzęsły. — Na nogach nie mogłem ustać a w nocy... — dokończył cichym, przejmującym głosem: — Widziałem przy sobie co z r n e g o, rozumiesz? Widziałem trątkę postać. Siedziała na oknie, kiedy spałem i wpatrywała się we mnie... to znowu przesuwała rękami o tak, po głowie. Chciałem go złapać za gardło, udusić — i złapałem siebie samego!.. Ani pracować, ani nie — kończył już normalnie — ale zamknął pić w złych czasach i wielkiej zgrzyoty A ty! — zamilkł i milczeli wszyscy Krasnowskiej było straszno, ale zarazem obudzona nadzieja coraz pewniej gospodarowała w jej sercu. Wyglądzała zmarszczyki nikim śladem uśmiechu; ten, który pił niegdys denaturę, szklankami, jak sam opowiadał, i widywał czarną zjawę i nie mógł pracować, wyglądał teraz na porządnego majstra.

Rozeszła się wkoło:

— Wszyscy się leczą! — powtarzała sobie w duchu — nie pij! Wszyscy! Wszyscy! Mój Boże, żeby to jakoś zatłoczyć... może jakiś zakład?

Tak już urosła w niej nadzieja, że zaczęła sobie przypominać jak to o n by dawniej, gdy za niego szła. Nikt się wtedy nie spodziewał, że i a k będzie. Każdy kawaler pije, to nie straszno. Po ślubie przysięgił jej, że wódki nie weźmie do ust, już nigdy, chyba na chrzcinach. Dotrzymywał tego do czasu wojny. A potem... Jak to powiedział ten gruby: „z wielkiego nieszczęścia przyszło to na mnie, że zacząłem pić”. — No tak, z nieszczęścia, upił się przecież na stypie, po pogrzebie. Kasia. Ale potem — już czy radość, czy smutek wszystko obchodził. Jednak Niemcy dawali deputaty — wódkę znaleźli się kompani do picia. Pierwszy raz, kiedy się upił, przetrząsał i przysięgał, że to ostatni raz, a ona przebaczyła i wierzyła. Potem przebaczyła, chociaż nie wierzyła. Potem przestał przepraszać — był po pijanemu.

Przypomniała sobie znowu Jądkę, jak to Jądzka, mając szesnaście lat poszła z domu z tym panem Kłabusikiem, właścicielem sklepu, na dole. Ze też ten Kłabusik się nie wstydił, że Boga w sercu nie miał! To on był stary dziad, żonaty i miał swoje dzieci... A Jądzka poszła z domu przez ojca, tylko przez ojca, przecież to wyraźnie powiedział! Wtedy kiedy po raz ostatni matka widziała ją na schodach.

Przypomniała sobie to spotkanie, jakby to było wczoraj, niesła bieliznę z magla. Szła w górę kręconymi schodami i usłyszała nad sobą kroki. Zatrzymała się, żeby przepuścić a w następnej chwili nogi ugęły się pod nią; z góry zstępowała Jądzka z panem Kłabusikiem. Pan Kłabusik niósł winiowaty kuferek, w którym zwykle leżała wszystka bielizna i ubrania. Na jej widok Jądzka zatrzymała się. Zawołała:

— Mama! — a potem objaśniła, jakby o najwzklejszej rzeczy:

— Mama, ja odchodzę, bo się wyprowadzam, tak, wyprowadzam się. — I dodała: — a mamy rzeczy to myśmy wyjeźli z kufra, tylko bierzemy moje sukienki i palto i koldre.

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

— Nie ma takiego prawal

Nad nowym przekładem „Eugeniusza Oniegina”

Dokończenie ze str. 3-jej

A wszakże „dobry mały” może znaczyć i jedno i drugie — wybór zależy od wyczuć tłumacza, od stopnia obiektywizacji materiału, od umiejętności historycznego widzenia dzieła literackiego, i wreszcie czynnikami są miarą wierności tłumaczenia.

Ludwik Flaszen w swojej recenzji z Wążykowskiego przekładu „Oniegina” drukowanej w Nr-ze 23 „Życia Literackiego” mówi w pewnym miejscu: „Znikła gdzieś nerwowa dynamika Puszkiniowskiego wiersza, jego muzyczność, mocne brzmienie o wdzięcznie pulsującym taktówce, męskie, zdyscyplinowane energię”. Niesłusznie. Flaszen widocznie w swoisty sposób czyta „Oniegina”, a sąd swój o tonacji utworu formułuje zbyt nerwowo. W dziele Puszkina nie ma nerwowej dynamiki, bo nie ma jej prawie w ogóle, a dynamika jest inna, właśnie poddana „wdzięcznie pulsującemu taktowi”, właśnie pełna owej „zdyscyplinowanej energii”, którą potrącił Wążyk wydobyc w swoim przekładzie.

„Zaczynać”.

Z zimną krwią i wzgardą,
Nisko trzymając pistolety,
Zwolnionym chodem, równo,

twardo,

Po cztery kroki w stronę meły
Uszli — śmiertelne cztery stopnie.
Oniegina wlewał marowo kroczki
I pierwszy łufę, mrużąc oczy,
Unosi lekko, niepochopte...
Jeszcze pięć kroków postąpił;
Łoński brew ściągnął, właśnie brał
Wroga na cel, gdy w tej chwili
Z przedniej łufy huknął strzał...
Wyroczny błękit grom w powietrzu:
Doń się rozszalał z pistoletem.

Celowo wybrałem scenę pojedynku, w której tak łatwo o „nerwową dynamikę”, aby pokazać, że „mocne brzmienie” bynajmniej nie znikło w przekładzie Wążyka.

W swojej „Nocie tłumacza” Wążyk słusznie podkreśla, że język polski, jeśli chodzi o możliwości instrumentacyjne, jest z pewnością „cięższy” niż rosyjski. „Mamy przy tym dwojaką tradycję barwy dźwiękowej. Lżejsza, „jaśniejsza” barwa prowadzi od Krasakiego do Słowackiego, cięższa, „ciemniejsza” — od Trembeckiego do Mickiewicza. Niekiedy trudno jest tłumaczowi zrezygnować właśnie z tej tradycji, która wiąże się z najświetniejszym nazwiskiem poezji polskiej.”

Sprawa instrumentacji przekładu poetyckiego wiąże się przy tym ściśle z wiatrym warszawskim poetyckim tłumaczem. I jeśli można mówić o konieczności obiektywizacji w doborze środków językowych jako o istotnym wymaganiu, które stawiamy tłumaczowi, to „barwa” przekładu jest jednak w dużym stopniu uzależniona od temperamentu twórcy tłumacza-poety. Dlatego też rozumem doskonałym jest Wążyk, mając do wyboru w tradycji polskiej pomiędzy „jaśniejszą” tonacją „Beniowskiego” a „ciemniejszą”, z równie pięknymi, a i innych pierwowzorów się wywodząca, nie mógł się oprzeć, ażeby nie dać przewagi tej drugiej, mimo że przeważyła ona w wypadku „Oniegina” przysługiwalaby raczej tonacji lżejszej.”

Użyję tu słów dość obiegowanych: miarą epoki jest jej stosunek do tradycji kulturalnej. Obiegowość tych słów nie zmniejsza jednakże ich siły. Miarą naszej epoki jest nie tylko właściwy stosunek do arcydzieł literatury, lecz i obiektywne warunki, które pozwalają na właściwe ukazanie tych arcydzieł w narodowym kształcie językowym. Praca Wążyka jest cennym dowodem. Poeta-tłumacz dał nam utwór adekwatny z tekstem Puszkiniowskim, włożył w swą pracę wiele talentu, sztuki poetyckiego, znajomości realiów epoki, i — co jest rzeczą niepoślednią przy tak olbrzymim dziele — wiele wytrwałości. Wytrwałość w przeniesieniu na osiągnięcia oznacza równy poziom, a równy poziom w tłumaczeniu arcydzieł jest czynnikiem decydującym. Wniosek z tego są bardzo ważne, osiągnięcia bowiem Wążyka jest przy tym znakomitą szkołą dla poetów współczesnych, szkołą właściwego rozumienia wagi słowa poetyckiego, nie zawieszono go w próżni, lecz ściśle związane z językiem własnej epoki i z żywą tradycją poetyckiego dorobku narodowego.

Seweryn Pollak

Życiorys własny satyryka

Dokończenie ze str. 5-jej

Warszawę opuściliśmy dnia 2 października. W Pruszkowie część rozpuszczono, by sama sobie szukała możliwości istnienia. Po trudnych do opisanego perypetiach dostaliśmy się z żoną do Piotrkowa, gdzie ok. 10 dni spędziliśmy w domu noclegowym. Tiok, brud, wszy i kłótnie... Dzięki spotkaniu inż. Tolwińskiego otrzymaliśmy kąpiel w kąpielowni, a także kąpiel w kąpielowni Kurkowskiego, gdzieśmy się doczekali nareszcie panicznej ucieczki Niemców przed armią radziecką. Radość ogólna. Ale na razie trudno było marzyć o powrocie do domu. Taki tiok na kolei. Dopiero dnia 22 lutego zdołaliśmy wrócić do siebie.

Znalazłem domek solidnie okradziony przez członków t.z.w. „zarządu komisarycznego”, Niemca Jachmana i „Polaka” Adolfa Siłkowskiego. Pierwszego złapać nie mogłem — uciekł. Drugi też się ukrył, ale w jego mieszkaniu zastałem rodzinę i... sporo moich rzeczy.

Powróć do normalnej pracy nie był początkowo łatwy. Nasamprzód trudno mi się było pogodzić z całkowitą stratą planu 4-letniego trud — moją encyklopedią, doprowadzoną niemal do końca, bo do Woronicza, i sporządzoną w dwu egzemplarzach. Oba przypadły. Jeden spalił się wraz z całym domem na ul. Lipowej, drugi leży gdzieś pod gruzami na Żoliborzu.

Zaczęłam krzątać się po redakcjach, ale wszędzie jacyś nowi ludzie... Dopiero zetknięcie się ze starym przyjacielem, Henrykiem Lukrecem, otworzyło mi szpalty „Nowej Epoki”. Kilka wydrukowanych tu bajek zachęciło redakcję „Spiziek” do ofiarowania mi gościny w tym piśmie. Z koleż zwrócił się do mnie „Kurier Codzien-

Przekład polski powieści Mikołaja Ostrowskiego „Jak hartowała się stal” leży otwarty na str. 422 (III wydanie z r. 1951). Czytamy tu, jak młodzieńcze niedoświadczone Korczagina w domu i jak niejednokrotnie po dyskusjach śpiewano chórem. Powieść obok innych tekstów notuje z specjalnym akcentem także „Ulubioną pieśń Pawła”. Zaczyna się ona następująco:

„ZALANY ŁZAMI ŚWIAT BEZKRESNY”...

Zalany łzami świat. Zastanawia bowiem tak brzmienie „ulubiona pieśń Pawła”. Cytata, urwana na pierwszej linijce, narzuca przecież nastrój, który z trudem daje się pogodzić z postawą Korczagina. Czy możliwe, aby wiersz, który jest w rzeczywistości podkreśleniem „ulubionej pieśni Pawła”? — Słogałem do oryginału. W odpowiednim miejscu cytata brzmi: „Słезami zalit mir biezielnyj”. Przekład jest dosłowny. No cóż, trzeba zatem pogodzić się chyba z faktem, że i bojownik tego pokroju, co Korczagin, mógł dawać upust skłonności do nieco nadzbyt sentymentalnych w tonie pieśni...

Zawiedziony tym fragmentem tekstu, wertowałem oryginał dalej, i oto tajemnica „ulubionej pieśni Pawła” wyjaśniła się w nieoczekiwany, ale zupełnie prosty sposób. Drugą część powieści, która wyszła z druku w dwa lata po opublikowaniu pierwszej, opatrzył Ostrowski mottem: „W naszym przekładzie nie ma po nim śladu. Tymczasem motto stanowi właśnie podana w całości „ulubiona pieśń Pawła”.

Wprowadzić i tutaj pieśń zaczyna się od słów: „Słезami zalit mir biezielnyj”, ale reszta pozwala rozecznać w

HIERONIM MICHALSKI

Ulubiona pieśń Pawła Korczagina i inne sprawy

niej bez żadnej trudności rosyjską wersję znanego powszechnie tekstu „Czerwonego sztandaru”. Wejścia rosyjska przestawia kolejność dwóch początkowych linijek i nieco oamiennie potraktowała w nich motywy oryginalne. Ale dla tłumacza nie może być wątpliwością, że „Zalany łzami świat bezkresny” musi brzmieć w polskim odpowiedniku: „Wciąż płyną łzy gorzkie i...”. Dostojnowo przekład okazał się w tym wypadku niewienciona. Jest oczywiście, że na str. 422 przekładu polskiego, tam, gdzie mowa o „ulubionej pieśni Pawła”, powinniśmy czytać: „Krew naszą długą lej katy”.

W bieżącym roku miały dwadzieścia lat od daty powstania piórnego powieści Mikołaja Ostrowskiego, która, jak świadczy wypowiedzi czytelników, wyraża w sposób wyjątkowo wysoce na naszą młodzież. Poruszając tu, mądrze i tylko jedną sprawę potraktowaną w przekładzie na polski „ulubionej pieśni Pawła”. Nie zestawiałem całego przekładu z oryginałem (może to być interesujące zresztą dla czytelników, n.p. sekcji wydawniczej na uniwersytecie, ale nawet przy doradziej kontroli pewnych partii, jak wypowiedzi Korczagina o poetach i cytat, stwierdzając, że dowolność postępowania tłumacza i opuszczenia „Wniebek jest jednoznaczny: Przekład powinien być podany bezwzględnej rewizji tak pod względem poziomu literackiego, który obecnie stanowi niezmierznie wiele do zyczenia, jak pod względem ludzkiego niufaktu stosunku do oryginału. Książka „Jak hartowała się stal”, która jest wielkim dokumentem literackim i źródłem siły moralnej całych pokoleń, zasługująca na to, aby czytelnik polski otrzymał ją w całości w tłumaczeniu wznowionym i pieczołowitym.

Tak przedstawia się jedna sprawa, która bez wątpienia nadaje się do zasilania projektowanej przez nas, a także przez Tadeusza Borowskiemu instytucji „notatek gatolologicznych”. W zapiskach recenzenta, czy ścisłej, czytelniczki, nazywano się podobnych spraw więcej. Do poprzedniego wydania, dołączając kilkadziesiąt, głównie w sensie przydatnych, które sygnalizują konieczność zwiększenia kontroli w pewnych dziedzinach pracy nad książką. Chciałbym bowiem wypełnić funkcję gatolologiczno-pedagogiczną.

Oto książkowe wydanie sztuki Ireny Krzywickiej „Dr Anna Leśna”. Wśród osób działających, nielicznych zresztą, jest m. in. sympatyczny sanitariusz Sochy. Tenże Socha, podany w spisie tytułowym, w tym wydaniu, jest w rzeczywistości zaktualizowany, raz pod innym imieniem. I tak w odsłonie pierwszej aktu drugiego Dr Anna Leśna wypowiedziała do niego następującą kwestię: „No, wiesz pan, panie Antoni, o tym „Wniebek” byłym zapomnianym (str. 40). W odsłonie zaś pierwszej ta sama Dr Anna Leśna odzywa się do tego samego Sochy w taki sposób: „Aż, panie Maciej, coż w tym śmieszno?” (str. 78).

Czyżby poważna, ba, pryncypialna Dr Leśna była roztrzępiona? — Chyba nie. Należy wnioskować, że po prostu autorka w czasie pisania wahała się, jakim imieniem obdarzyć Sochę. Wahała tego rodzaju znane są w procesie twórczości. Można by przypominąć charakterystyczne zmiany imion kilku postaci, jakie w porównaniu do tych poprzednich tomów znajdujemy w ogłoszonych z rękopisu notatkach Maksyma Gorkiego do czwartego tomu „Kłosa Samgina”. Ale to były przecież tylko notki, bez żadnego imienia na tyłku, w tym znanym, który w rzeczywistości był oddany do druku. Zachowanie dwójstej wersji imienia Sochy w drukowanym tekście sztuki Krzywickiej musi dziwić tym bardziej, że sztuka, o której mowa, pochodzi z lat 40. W tym czasie, jak wiadomo, w tym czasie, dobiegają Zapewne, Niemniej jednak drobiazg charakterystyczny.

O czym świadczy ten przykład — o brakowatwie. Niewątpliwie, wina za widoczne nieopanowanie realiów utworów jest po stronie autora. Ale wina częściowo, po stronie wydawnictwa, po stronie redaktora książki.

Odmienne sprawa w tym rejestrze: W r. 1948 ukazały się „Utwory poetyckie” Lucjana Szenwald. Publikacja była przygotowana z pietysmem dla dorobku niedoświadczonyj pamięci poety-zolnicza. Opatrzono ją nie tylko wstępnymi notkami, lecz i wstępnym, chronologicznie powstawania poszczególnych utworów oraz wskazań miejsce ich pierwotności. Przy całej chwalebnej pieczołowitości nastąpiła wskutek nieopatrzności redakcyjnej pewna niewłaściwość. Oto w przedmowie poematu „Kuchnia mojej matki” wypadła cała część p.t. „Prze-

cie przejdzie przez kuchnię” katejąca w ten sposób wymowę utworu. Okaleczenie nie powstawało wtedy bodaj wstawiła korektorską na osobnej kartce. Kilka tysięcy egzemplarzy książki poszło do bibliotek publicznych i prywatnych w zdefektowanej postaci.

Nie trzeba rozwidłać się nad tym, jak to było zresztą dla pamięci poety. Tymczasem wydanie „Utworów poetyckich”. Różni się ono od pierwszego tylko tym, że pominięto dawne wstępy, które istotnie wymagały rewizji, zaspęgując samorzeczną notatką informacyjną, natomiast dawny tekst utworów przedrukowano bez żadnych zmian, a więc razem z poprzednim brakiem części poematu „Kuchnia mojej matki”. I znowu tysiące egzemplarzy poszły w świat bez żadnego uzupełnienia.

Na marginesie warto zanotować informację dla przyszłych wydawców dorobku poetyckiego Szenwald. Zebrane dotychczas utwory nie są kompletne, trzeba rozszerzyć katalog poszukiwawczy, po czasopiśmie „Przebieg” n.p. że w 1931 poeta zamieszczał „fragmenty wyłączone” z poematu „Kuchnia mojej matki” w „Jury” w warszawskich miesięcznikach poświęconych modzie pod nazwą „Żyćcie kobiece” (drukował tam razem z Szenwaldem swoje nowelle Zbigniew Unioński, któremu właśnie poemat był dedykowany jako temu, „bez którego nigdy by nie powstał”). W przyszłym wydaniu nie wolno pominać owych „fragmentów wyłączonych”.

Idmy dalej. Ukazuje się coraz więcej przekładów, poprzedzonych wstępami lub bodaj notkami informacyjnymi. Inicjatywa słuszną, spełniająca zresztą głos wyrażony od dawna postulatami czytelników. Realizacja jednak nie obywa się jeszcze bez uchybień. Zapewne, napisanie dobrej przedmowy odcinającej przedzielną pozostawienie czytelnika stanowi zadanie wyjątkowo trudne. To zatem, co chcę tu na ten temat zanotować, nie będzie jeszcze odnosić się do jakości przedmów, ale tylko do pewnych szczegółów technicznych.

Oto bieżące rękopisy powieści radzieckiej pisarza Genadija Piszca „Kamień” i „Bóg”. Zamieszczona na wstępie notka informacyjna o autorze jest rozważna. Uderza wprawdzie pewien brak. Pominięto mianowicie wiadomości o innych wydanach tej polskiej książki Piszca, wśród których był m. in. kapitalna praca o mizicunowach „Wyprzedzamy legendę”.

W notce informacyjnej, która opatrzono powieści francuskiego pisarza Jena Lafitte’a „Dziecinia walczy”, znajdujemy już wspomnianą, że jest to trzecia część książki, w przekładzie polskim. Autor jednak wzmianki nie zadał sobie trudu, aby wymienić bodaj tytuły poprzednich powieści („Życie to walka” i „Milczące masty”).

Wskutek podobnych drobiazgów dobra i pozytywne inicjatywy nie wypełniają całkowicie zadań, które może wypełniać. Walczymy o zbliżenie czytelnika do książki. Trzeba zatem wypracować wszystkie możliwości informowania czytelników o książkach.

Przykład innego rodzaju.

Nie tak dawno felietoniści poświęcili sporo miejsca rozbirowi nowego przekładu „Florenckich noc” Henryka Heinego. Robili to, nie ma wątpliwości, szlachetnie. Szkoda jednak, że wśród wielu pozytywnych uwag, jakie wtedy wzniesiono, brak bodaj wzmianki o dawnym przekładzie tego samego utworu i to przekładzie nie było jednak, bo dokonany przez Marię Kopnicką. Zamieszczony był on w III tomie „Wyboru pism” Heinego, który w całości zaopiekuje tłumaczenia pióra naszej wielkiej poetki. Rok wydania: 1935.

Niestety, zapomnieli o tym wydawcy i nie przypomnieli tego recenzenci. Ponieważ chodzi o wybór pism Heinego, należy w tym nadmienić, że tym razem w spisie tłumaczy nie pominięto się Kopnickiej, która bardzo wydawnictwo przyczyniła się do popularizacji twórczości autora „Podróży po Harzu”, tłumacząc bardzo wiele jego utworów. Przy Heinem wspomnie jeszcze nawiasowo, że warto było redaktorzy wydawnictwa zastanowić się nad możliwością wykorzystania ciekawych przekładów wierszy autora „Księgi pieśni” — dokonanych przez Sagittariusza (były drukowane ok. roku 20-lecia w „Tygodniku Ilustrowanym”).

Wszystkim podobnych drobiazgów dobra i pozytywne inicjatywy nie wypełniają całkowicie zadań, które może wypełniać. Walczymy o zbliżenie czytelnika do książki. Trzeba zatem wypracować wszystkie możliwości informowania czytelników o książkach.

Konieczność brania pod uwagę dawnych przekładów okazuje się sprawą, która wymaga rozważ.

Oto otrzymaliśmy ostatnio nowy przekład opowiadań wielkiego realisty niemieckiego Gottfrieda Keller’a „Ludzie z Seldwila”. Nowy przekład jest bardzo kulturowy. Ale niektóre z opowiadań były już u nas tłumaczone przed 30-letni laty i istniejący przekład pióra Alfreda Toma jest znakomity.

Sprawa posiada dwa, jak się mawia, aspekty. Po pierwsze: W okresie, kiedy narzekamy nagminnie na kadry tłumaczeniowe, brak, który wykryliśmy istniejącego przekładu oznacza absorbowanie wysiłku dobrego skądinąd tłumacza dla zadania wykonanego już znakomicie. Po drugie: niewykorzystanie istniejącego znakomitego przekładu oznacza także brak zrozumienia dla tak ważnego przecież zagadnienia, jak ciągłość naszego istotnego dorobku kulturalnego.

We wspomnianym konkretnym wypadku należało być kwestyjnie skorygowane ze sposobności, aby przypomnieć zasługującego tłumacza kulturowego, jakim był Alfred Tom, ofiarą terroru hitlerowskiego w ostatniej wojnie.

Zarówno wypadek „Nocy florenckich”, jak i „Ludzi z Seldwila” (kilka lat wcześniej można byłoby także o Wacławie Berencie jako zapomnianym tłumaczem nowel Maupassanta) sygnalizuje zaletą badawczą sferę dość szeroki na pewno możliwości. Po prostu wydawnictwa powinny konsultować się także z bibliografami.

Na zakończenie, skoro mowa o bibliografii, zanotuję jeszcze jedną uwagę.

Oto ukazują się poszczególne tomy pisma Stefana Żeromskiego, przygotowane niezwykle pieczołowicie pod każdym względem. Weźmy n.p. „Ludzi bezdomni”. Mamy tu interesujący szkic o tym dziele Żeromskiego, ustalony naukowo tekst i informacje o sposobach ustalania tekstu. Nakład wysiłku budzi podziw i uznanie.

Jest jednak i tutaj pewne „ale”. Wskutek bowiem nie był wykorzystany racjonalnie do końca. Przypuśćmy, że chcemy dowiedzieć się, w jakim kolejnym wydaniu ukazują się „Ludzie bezdomni” w tłumaczeniu Żeromskiego, to pytanie się rozłoży. Odpowiedzi na to pytanie brakuje, a mogła być sprecyzowana w trakcie przygotowania nowego wydania. Zapewne nie pomyślano o tym, że podobna wiadomość może być i interesująca, pożyteczna.

Cóż mówić o „Ludziach bezdomnych”, który Heza już ze „Życia”, spójnym ustalił ile wydać miały i w ilu egzemplarzach były wydrukowane książki pisarzy współczesnych, n.p. Kruczkowskiego czy Wasilewskiego. Zasadniczo jest niewykonalne bez zmobilizowania dla żmudnej i wcale nie łatwej roboty całego aparatu naukowego. Stosowana bowiem ogólnie numeracja wydana jest co najmniej dziwaczna: albo uwzględnia, albo nie uwzględnia ilości wydań przedwojennych, a zawsze niejako z reguły pomija wydania, które są drukowane jako pozycje biblioteki peneruatorów poszczególnych pism. A przecież dane o kolejności wydania i ilości wydrukowanych egzemplarzy (nie tylko przedwojennych, ale wszystkich poprzednich wydań) mogłyby być w prosty sposób uprzyęstnione, gdyby wydawnictwa przyjęły znormalizowane sposoby bibliograficznego wyposażenia książki. Powinny zastanowić się nad tym, czy w przyszłości, poza sprawą uporządkowanej bibliografii, ilość wydań i ilość nakładu stanowił przedmiot naszej służnej dumy.

Hieronim Michalski

Wskazania i nauki XIX Zjazdu KPZR

Przemówienia wygłoszone na naradzie aktywów PZPR w Warszawie dnia 4.XI.1952 r.

Str. 96 21 1.40

„KSIĄZKA I WIEDZA” K 1499-1

„Dziennik” (X) Jana Szembeka

HITLER ZRYWA UMOWĘ Z 1934 R.
28 kwietnia 1939 r. Rozmowa z Krümmerem (niemiecki chargé d'affaires — przyp. nasz).

Przyjalem go o godz. 11 min. 45. Był bardzo grzeczny, ale wydawał się zadowolony. Złożył na moje ręce memorandum swojego rządu stwierdzające, że skutkiem zawarcia umowy polsko — angielskiej, pakt o nieagresji polsko — niemiecki ze stycznia 1934 r. utracił swą ważność. Dołączył, z polecenia swojego rządu wyjaśnienie ustne, że memorandum to będzie opublikowane dzisiaj, w tym samym czasie co tekst przemówienia Hitlera.

Tego samego dnia — Rozmowa z Beckem. Przekazałem mu memorandum niemieckie, które przeczytał natychmiast w mojej obecności. Jego pierwszą uwagą było, że Hitler pragnie zerwać nasze porozumienie z Anglią i przestąpić stosunki między naszymi krajami znowu na teren rozmów dyplomatycznych.

Minister zalecił następnie, by na razie nie podawać do wiadomości tekstu memorandum, którego odpis zabrał, by udać się z nim natychmiast do marszałka Śmigłego-Rydza.

TRZEZWA UWAGA
Tego samego dnia. Rozmowa z Kulskim.

Po pierwszej, powierzchownej lekturze memorandum niemieckiego stwierdza on, że argumentacja prawna w nim zawarta jest bardzo słaba, co ułatwia odpowiedź.

WYMIANA INTELIGENTNYCH SPOSTRZEŻEŃ
1 maj 1939 r. Rozmowa z Noelem. W związku z mową Hitlera, ambasador stwierdza, że wyraża ona

brak agresywności. Ze swej strony zwróciłem uwagę, że przemówienie to zawierało parę błędów historycznych.

Dowodzi ono również zmiany, zaślepił ostatnio w doktrynie politycznej Hitlera. Gdy zdamy sobie sprawę, że dzisiaj w Niemczech kto inny ma głos decydujący, nie ludzie, którzy kierowali polityką do niedawna — dojdziemy do wniosku, że III-cia Rzesza jest skończona i narodziła się IV.

NIEPEWNOŚĆ: CZY ANGLIA POPIERA?
3 maj 1939 r. Nota Becka do vice-ministra (tajne)

Profesor Kucharzewski powiedział Kobylańskiemu, że ambasador Wielkiej Brytanii w rozmowie z nim uświłował go przekonać, że Anglii trudno będzie rozpocząć wojnę przeciwko Niemcom z powodu Gdańska.

„Beck będzie miał wielkie kłopoty, bo w Anglii nikt nie rozumie przytoczonej wojny, której źródłem byłby Gdańsk, — miasto przecież niemieckie...”

POMYSŁY POJEDNANIA
14 maj 1939 r. Rozmowa z Lipskim.

Zwraca mi on uwagę na ostatni artykuł Goebbelsa w „Völkischer Beobachter”, z którego można wywnioskować, że Niemcy radzi by wycofać się z dotychczasowej postawy agresywnej. Byłoby może wskazane zacząć dogadywanie się przez zamieszczenie artykułu w tonie pojednawczym w „Gazecie Polskiej”, zanim wdamy się w bezpośrednie rozmowy.

CIANO PROPONUJE TUNEL PRZEZ POMORZE

15 maj 1939 r. Raport ambasadora Wławiawy Długoszezwskiego, przysłany z Rzymu na ręce m. Szembeka. Rozmowa ambasadora Wławiawy Długoszezwskiego z min. Ciano.

Oświadczyłem ministrowi, że postanowiłem zwrócić się do ministra Becka z prośbą o zwolnienie mnie z funkcji ambasadora w Rzymie i o przeniesienie mnie do armii, gdzie będę bardziej użyteczny dla mojej ojczyzny.

Na te moje słowa Ciano się zachęcił i powiedział, że nie ma przecie bezpośredniego niebezpieczeństwa konfliktu, bo Niemcy nie rozpoczyna wojny z powodu Gdańska. Jeśli idzie o Włochy, to Duce i naród włoski żywi dla Polski niezmierną sympatię.

„Nie jest to temat do dyskusji — odpowiedziałem — zresztą nie jestem dyplomata, tylko zawodowym oficerem”. Na prośbę Becka zgodziłem się objąć ambasadę w Rzymie, bo żywiłem gorącą sympatię dla narodu włoskiego, dla pana, dla Ducego. Mogę już teraz panu powiedzieć, że często broniliem pana, a także Ducego, przed zarzutami różnych środowisk włoskich; dziś nie potrafiłbym już tego zrobić.

„Wiem o tym — przerwał Ciano — wiem o tym, proszę mi wierzyc, że nauczyliśmy się szacunku i miłości dla was. Spodziewam się, że zostaniemy przyjaciółmi bez względu na to co się zdarzy. Spróbujmy rozmawiać nie jak minister z ambasadorem, ale jak dwaj przyjaciele. Wieniawa i Ciano. Niech mi pan powie, czy nie widzi żadnego sposobu, by się porozumieć z Niemcami? Nie moglibyśmy dostarczyć im jakiejś linii komunikacyjnej przez Pomorze?”

„Niemcy mają wiele dróg łączących ich z Prusami Wschodnimi. W tym konflikcie chodzi o prawa suwerenne, o suwerenność, nie o jakąś tam drogę, linię kolejową, wiadukt czy tunel!...”

„Tunel! — przerwał Ciano — tunel! Wieniawa, ma pan genialny pomysł, mój kochany! (mch chę). Pomysłcie nad tunelem! Jak szerokie jest Pomorze? Czterdzieści do pięćdziesiątych kilometrów. Co was będzie obchodził tunel! Suwerenność nie leży terenów pod ziemią. Powiedźcie Niemcom, żeby wykopal tunel. Co pan o tym myśli? Na tunel przecie możecie się zgodzić!”

W dalszym ciągu Ciano wyraził się lekceważąco o pomocy Francji. „Gdybyśmy mogli wydać wojnę Francji! Pobijemy ją w dwa tygodnie!”

LICZYMY NA WLASNE SIŁY
18 maj 1939 r. Rozmowa z Orłowskiem.

Opowiedział mi ostatnią swoją audyencję u regenta Horty.

Regent wezwał Orłowskiego, by Polska nie wstępniała wojny, bo osobiście regent nie jest pewien czy Francja i Anglia będą mogły nam skutecznie pomóc. Orłowski odpowiedział, że liczymy przede wszystkim na własne siły.

WYNIK OSTATECZNY JEST NIEWĄPLIWI
27 maj 1939 r. Rozmowa z gen. Litwinowiczem.

Słabość Niemiec polega na tym, że nie zdolali oni wyczerzyć czterem roku roczników rezerwy. Z punktu widzenia materialowego, mają nad nami przewagę, ale i my dokonaliśmy olbrzymiego postępu w tej dziedzinie. Pierwszy okres wojny może być dla nas ciężki, i przyniesie zniszczenia, kosztem przede wszystkim ludności cywilnej, ale ostateczny wynik konfliktu jest niewątpliwy.

NIEMCY OBAWIAJĄ SIĘ POTĘGI POLSKI
22 czerwiec 1939 r. Rozmowa z Horim.

Zapytał mnie, czy widzę możliwość polubownego załatwienia sporu między nami a Niemcami. Odpowiedziałem, że widzę możliwość.

wiedzieli, że Niemcy wiedzą doskonale, w jaki sposób mogliby doprowadzić do odprężenia. Osobiście nie wierze, by ośmielili się popełnić w stosunku do nas akt agresji, bo zdają sobie sprawę z potęgi, jaką reprezentuje Polska.

HISTORIA KUKŁY Z PEDZLEM
2 lipiec 1939 r. Rozmowa z Moltkem.

Ambasador mnie zawiadomił, że na drodze między Ostrowiem i Pfeisdorf umieszczono kukłę, wyposażoną w szaflik i pedzel malarski, wyobrażającą bez wątpienia kanclerza Hitlera, z napisem w tonie ubliżającym. Kukła ta znajdowała się tam w ciągu pięciu dni. Ambasador otrzymał polecenie złożenia protestu, celem wszczęcia dochodzenia i ukarania winnych.

NA ZACHODZIE „OBAWIAJĄ SIĘ” BECKA
6 lipiec 1939 r. Rozmowa z Jerzym Potockim.

Potocki jest zdumiony atmosferą panującą w Polsce. W porównaniu z psychozą wojenną na Zachodzie nasz kraj robi wrażenie domu wypoczynkowego. Na Zachodzie rozmaitość elementów popychają do wojny: kapitaliści, handlarze bronią. Mają oni wielką okazję: punkt zapalny — Gdańsk, oraz naród który chce się bić: Polskę. Chcą robić interesy naszym kosztem. Ruina naszego kraju jest dla nich obojętna. Spodziewają się jeszcze zarobić na przyszłej odbudowie. Traktują nas jak Murzynów, których zadanem jest pracować, by oni mogli powiększyć dochody. Obawiają się jednego tylko człowieka: Becka.

HITLER WCIĄŻ NIE CHCE WOJNY
14 lipiec 1939 r. Rozmowa z Horim.

Stwierdza on chwilowe uspokojenie sytuacji międzynarodowej. Ze wszystkich rozmów, jakie przeprowadził w czasie urlopu spędzonego w Niemczech, wynika jasno, że Hitler nie chce wojny, i że Niemcy stale są przekonani, że sprawę Gdańska uda się załatwić na drodze pokojowej.

wszystkich rozmów, jakie przeprowadził w czasie urlopu spędzonego w Niemczech, wynika jasno, że Hitler nie chce wojny, i że Niemcy stale są przekonani, że sprawę Gdańska uda się załatwić na drodze pokojowej.

Niemcy nie wierzą też w możliwość skutecznej współpracy Anglii i Francji z nami.

NASZA SYTUACJA WOJSKOWA JEST DOBRA
21 lipiec 1939 r. Rozmowa z Beckem.

Rozmawialiśmy o położeniu Niemiec i o możliwości wycofania się Hitlera. Beck jest zdania, że każdy wielki człowiek może się cofnąć bez ujemny dla siebie; marszałek Piłsudski udowodnił to nieraz podczas gdy był u władzy. Naszą sytuację wojskową Beck ocenił jako dobrą. (I a jakości de bonne note situation militaire).

WOJNY NIE BĘDZIE, ALE GROŻĄ NAM KŁOPOTY FINANSOWE
18 sierpień 1939 r. Rozmowa z Kocem.

Ko nie traci optymizmu i sądzi, że wojny nie będzie. Sytuacja wojskowa Niemiec nie jest nadzwyczajna. Kadry są niewystarczające. Co do Polski, Ko ocenia przyszłość jako poważną. Nasz system gospodarczy opierał się dotychczas na niemieckim, teraz zaś, słychać, musi przestawić się na system Europy zachodniej, i z nim związać swój rozwój. Na jesieni, gdy obecny kryzys wymagał trzeba będzie wrócić do tego problemu.

WSZYSTKO TO BLUFF
23 sierpień 1939 r. Rozmowa z Artyszewskim.

Nie może on wciąż opędzić się wrażeniu, że mamy do czynienia z zwykłą wojną nerwów oraz z bluffem niesłychanych rozmiarów.

